

OBRACHUNEK Z „RZECZĄ“
p. Stanisława Koźmiana
„O ROKU 1863“

Z JEJ AUTOREM I Z TEGOŻ PRZYJACIÓŁMI

przez

Jerzego Moszyńskiego.



W KRAKOWIE,
W DRUKARNI «CZASU» FR. KLUCZYCKIEGO I SPÓŁKI
pod zarządem Józefa Łakocińskiego.
1895.







NAKŁADEM AUTORA.

I.

Zbliżamy się szybko do końca wieku, który nie tylko wytworzył dla świata nowe polityczne, spółeczne i ekonomiczne warunki, ale targnął się nawet na cały zakres moralnych aspiracyi, wierzeń i nadziei. Nigdzie wiek XIX nie odbił się tak silnie jak na polskiem narodowem życiu. Zdawałoby się, że na naszej ziemi, obrał sobie świat cały pole do rozegrania tej stanowczej walki.

To też wbrew zdaniu polskiego historyka pana Michała Bobrzyńskiego, który jeszcze przed jedenastu latami zapewniał nas, że

> »fakta z przed dwudziestu lat, nie stoją już na widowni naszego publicznego życia«, że hasła ich »strawione prędkim biegiem dziejów, do niego już nie należą«, że one »w stosunkach naszych dzisiejszych żadnej nie mają podstawy« [1])

w całem spółeczeństwie jednak odzywa się jakaś gorączkowa potrzeba do skorzystania z tych ostatnich lat wieku, dla zamknięcia moralnego i politycznego obrachunku z tej złowrogiej dla nas epoki.

Między licznemi publikacyami, odnoszącemi się do 1863-go roku, niezawodnie pierwsze zajmuje miejsce

---

[1]) Nr. 125 »Czasu« z 6 Czerwca 1883 r.

dzieło pana Stanisława Koźmiana p. t. »*Rzecz o roku 1863-cim,*« którego pierwsze dwa tomy ukazały się w roku bieżącym. W zwykłych warunkach nie jest rzeczą bezpieczną wydawać sądu o dziele przed całkowitą jego publikacyą, bo trudno czasem z pierwszych jego części wyrobić sobie zdanie o ostatecznym celu i zapatrywaniach autora. Pod tym względem pan Stanisław Koźmian ułatwił nam zadanie.

Zaraz w pierwszych dwóch tomach umiał znakomity ten publicysta nietylko wskazać nam jasno cel, w którym wolne od poważnych politycznych zajęć chwile, poświęcił literackiej pracy, ale zarazem roztoczył przed naszemi oczami całą skarbnicę głębokich filozoficznych poglądów, jasno wytkniętego programu politycznego, głębokiej miłości prawdy, połączonej z uczuciem największego dla ojczyzny poświęcenia. W dziele swojem, przekonał nas znakomity autor, jak niesłusznem jest mniemanie, że rozpraszanie swojej inteligencyi w zdawkowej dziennikarskiej pracy zabija w umyśle zdolność do głębokiego myślenia, do tworzenia dzieł pomnikowych. Trudno się zdecydować, co więcej podziwiać w dziele, czy głębokość filozofa, czy rzutkość i praktyczność męża stanu, czy giętkość publicysty, czy zapał patryoty, czy wreszcie tą duszę poetyczną, która potoki swoich myśli umie to ujmować w karby monumentalnej wymowy Cyceronskiej, to znów w miarę wzbierającego prądu wypadków dziejowych, puszcza im wodze i na wzburzone wypuszcza morze.

Co to za przepysznie n. p. dobrana forma stylu, dla opisu tej chwili, gdzie jeszcze w kraju panuje zewnętrzny spokój, ale rewolucya już nurtuje, a Margrabia prowadzi cichą, ale zaciętą walkę z Suchozanetem:

»Zamiast zwrócić całą uwagę« — powiada autor — »przeciw ruchowi i spiskowi, ścierać się musiał z Suchozanetem, już za pierwszych jego rządów, co hamowało w imieniu antanomii, poskramiającą czynność.«

W miarę jednak jak sytuacya staje się coraz dramatyczniejszą, autor umie także płynąć za nią coraz to silniej rozkołysaną falą słów, która wreszcie jakby rozbita o sterczące skały granitu, pieni się, bałwani, miesza i szumem swym oszołomia zdumionego czytelnika. Rzekłbyś, że filozoficzno-historyczny traktat przeistoczył się w jednej chwili w zagadkę przeznaczoną dla »Przyjaciela Dzieci.«

»Błąd główny był i stał się ciężkim« — woła znakomity autor — »przyczyna jego tkwiła przeważnie w powstaniu listopadowem Hotelu Lambert. A przecież bezstronność dziejowa nakazuje zapisać, iż pomimo opłakanego rozwiązania, trzydzieści lat wytrwałej, szlachetnej, patryotycznej pracy, przygotowały, umożebniły położenie, w którem chęci Napoleona III, ustępstwa Rosyi, system Wielopolskiego, stworzyły warunki, w których naród polski mógł sowite zdobyć korzyści, gdyby był umiał i potrafił.«

II.

Ta porywająca i wzniosła forma stylu nie jest jednak główną tego dzieła zaletą. »*Rzecz o roku 1863-im*« urzeczywistnia żądanie starożytnych: »*mens sana in corpore sano*«.

Wiekopomną wspaniałością swoją góruje nad wszystkiem filozoficzno-historyczny traktat, zamieszczony na początku drugiego tomu, który zapewnia autorowi nieśmiertelne, światowe imię w zdobyczach na polu fi-

lozofii historyi, i dlatego od niego zaczynam rozbiór treści.

Zagłębiając się w ten filozoficzny traktat, — bo to tylko miano może mu przystać — doznaje czytelnik wrażenia, jakoby na małem czółenku puścił się zuchwale na spokojne, poważne głębie oceanu, by łowić w nich coraz to nowe perły zdobyczy naukowych. Uczucie to własnej małości wobec tych nowych olbrzymich, niezmierzonych horyzontów, które autor przed nami roztacza, dochodzi do swojego szczytu, gdy się czyta o tych to »*zewnętrznych,*« to »*wewnętrznych,*« to znowu razem »*wewnętrznych i zewnętrznych*« przyczynach upadku narodowego.

Nie można się uchronić od przypomnienia sobie głębości politycznej tego sławnego programowego artykułu »Czasu» z dnia 27 lipca 1878 r., rozprawiającego o syntezach i peryferyach i znowu syntezach, o życiu skupiającem się w dośrodkowem kole, to znowu o zadaniach na peryferyi koła, »*w których skupiać się powinna jedność narodu polskiego!*«

To wspomnienie przenosi czytelnika w owe czasy gdy siedział na ławce w gimnazyum św. Anny i trzymał w ręku geometryą Močnika, a złudzenie dochodzi do punktu kulminacyjnego, gdy się dojdzie wreszcie do tej mistrzowskiej klasyfikacyi upadku na upadek 1-go, 2-go i 3-go stopnia, i gdy się usłyszy, że się dostało od p. St. Koźmiana trójkę. Wrażenie to straconem będzie dla młodszego pokolenia, skoro pan Gautsch, zniósł gimnazyalną klasyfikacyą. W każdym razie wychodzi tu na jaw łączność filozoficznych zdolności z bystrością polityczną u znakomitego autora, skoro umiał on tak gienialnie uchwycić i zużytkować dla narodu wyrzuconą przez pana Gautscha ze szkół klasyfikacyą.

III.

Przystępując teraz do oceny dzieła p. Koźmiana, pod względem politycznym, musimy zadać sobie przedewszystkiem pytanie, jaki cel miał autor w napisaniu go. Pan Koźmian jest politykiem zanadto znanym i znakomitym, żeby miał nie wiedzieć o tem, że każde poruszenie kwestyi politycznej musi mieć cel jasno wytknięty i dlatego nie tylko go miał, ale z całą szczerością i otwartością cel ten wskazuje czytelnikowi, nie zostawiając żadnej pod tym względem w umyśle jego wątpliwości.

»Zadaniem mojem będzie« — pisze autor zaraz na 1-szej stronicy swojego dzieła — »rozróżnić winnych od współwinnych, sprawców złego od tych, którzy mu przeszkodzić ani zaradzić nie potrafili; tych, którzy klęskę zgotowali, od tych, którzy chcąc ją zażegnać, rozszerzyli jej rozmiary.«

Widzimy więc, że znakomity polityk opuszcza swoją arenę, by zasiąść na krześle trybunału historyi i wydać stanowczy wyrok winy na sprawców ostatniego powstania.

Kto był głównym winowajcą? Oczywiście, że ten kto był głównym powodem niepowodzenia rozumnego, politycznego działania. A tym podług p. Koźmiana był

Margrabia Wielopolski, który »umiał tak dzielnie, tak mądrze, skutecznie, stawiać cesarzowi i władzom rosyjskim warunki swoich rządów, niezawodnie powinien był postawić jako pierwszy, danie mu wszelkich do rozporządzenia środków, dla ubezwładnienia tajnego spisku, w przeświadczeniu, że bez tego, dzieło jego przyszłości nie miało, on sam zmarnowanym dla społeczeństwa zostanie.«... »Albo wtedy także nie rozumiano, że nie narzędzia spisku i tych, których teroryzował najpierw usunąć należy, lecz sam spisek unicestwić

trzeba; albo też temu głównemu zadaniu nie podołano i nie sprostano. W jednym i drugim wypadku, *krytyka polityczna musi to systemowi za główny powód niepowodzenia przypisać.* (t. II. str. 281).

Że zanadto wielka miękość margrabiego wobec spisku była głównym niedostatkiem tego potężnego organizmu politycznego, to sam pierwszy przed dziesięcioma laty zaznaczyłem [1]). Ale przyznaję się w pokorze ducha, że myślałem dotąd, że głównym powodem niepowodzeń jego systemu, było stanowisko nieprzebłaganej zawiści przeciw Margrabiemu i jego systemowi, zajęte od samego początku jego działania przez »Czas,« przez p. Andrzeja Zamoyskiego i jego stronnictwo, przez rewolucyonistów polskich, przez międzynarodową rewolucyą, przez rządy Austryi i Prus, słowem przez czynniki znajdujące się w najznaczniejszej części po za granicami kraju, którego Margrabia był naczelnikiem, a więc wymykające się ze sfery jego rządowego wpływu. Przyznam się nawet, że dopatrywałem potwierdzenia moich w tym względzie pojęć, gdym wyczytał że

»Jeden Wielopolski posiadał sekret recepty i kuracyi zbawczej, chora odepchnęła wraz z lekarstwem receptę i kuracyą«... »Lekarz był znakomitym, recepta i kuracya uzdrawiającemi, ale metoda, zastosowanie, obchodzenie się były niezręcznemi, nie psychologicznemi, niewłaściwemi i położnica nie pozwoliła przeprowadzić kuracyi.«

Otóż w prostocie swojej myślałem, że w tym wypadku koniecznie położnica była główną, jeżeli nie je-

---

[1]) Patrz »Polityka Austryacko-Polska wobec myśli politycznej Aleksandra Wielopolskiego« r. 1884 (t. I str. 151).

dyną przyczyną swojej śmierci, bo skoro doktór rozpoznał jej chorobę i wyborne na nią zapisał lekarstwa, to swojego zadania dopełnił, a rzeczą było jej rodziny i przyjaciół, n. p. »Czasu« nakłaniać ją do zażycia, a nie wzbudzać wstrętu do lekarstwa i do doktora od samego początku, szczególniej zaś jeżeli się innego nie miało pod ręką.

Chcąc zrozumieć genialne sądy historyczne autora, nie można zapominać, że jest on jednym z głównych filarów konserwatyzmu polskiego, polegającego na najczulszem przywiązaniu do przeszłości własnego swojego życia i działania; trzeba zrozumieć, że uczucie i obowiązek zarazem nakazują moralnemu przewodnikowi tego stronnictwa konserwować nić tego stanu psychicznego z przed trzydziestu laty, który równie dziś jak wówczas doprowadza autora na te wyżyny ducha, o których sam się wyraża, »*że jest bezrozumem chcieć do nich stósować prawidła rozumu*« (t. I. str. 247).

I rzeczywiście dopiero za tą idąc radą i schowawszy logikę do kieszeni, można zrozumieć jakim sposobem system Wielopolskiego mógł być główną przyczyną niepowodzenia, skoro sam autor utrzymuje, że »*musieliśmy nareszcie, raz jeszcze paść ofiarą gry mocarstw między sobą*« a system Wielopolskiego: »*jedyna deska zbawienia, którą kraj odepchnął, porwaną została przez szalony prąd wypadków*« (str. 209).

Ale darmo, wiemy już, że bezrozumnem jest do ówczesnych wypadków stosować prawidła rozumu, musimy więc przystać na trzech głównych winowajców nieszczęść 1863 roku postawionych przez pana Koźmiana pod pręgierzem historyi a mianowicie: na *Wielopolskiego*, *na grę mocarstw* i *na szalony prąd wypadków*.

Z tej trójcy ostatni jest najwygodniejszym, bo będąc ilością ogólnikową i nieokreśloną, sprowadza cały obrachunek do manipulacyi ilościami nieskończenie wielkiemi i nieskończenie małemi, któremi wedle upodobania można winę działających albo w nieskończoność powiększyć, lub też zredukować ją do minimum... prawie do zera. Fikcyjne pojęcie to bowiem przyjmie bez szemrania każdy ciężar, chociażby największy, którybyśmy zechcieli zrzucić nań ze swojego sumienia.

Z wielką słusznością staje pod pręgierzem historyi Europa, a mianowicie najpotężniejszy z potężnych jej reprezentantów Napoleon III, który ten szalony prąd wypadków w Polsce wywołał i podżywiał, radząc Polakom od samej wojny krymskiej, żeby cicho siedzieli i żeby o powstaniu nie myśleli; który wówczas jeszcze

»przestrzegał Księcia Czartoryskiego, aby nie zrywać się do powstania, gdyż Francya nie będzie mogła w żaden sposób przyjść mu z pomocą, skoro sprzymierzeńcy nie zechcą dotknąć się sprawy polskiej« (II 63);

który również pod koniec 1860 r., gdy już ruch polski zaczął się objawiać demonstracyami, oświadczył temuż

»że nie nadeszła chwila podniesienia sprawy polskiej, że on jej się dotknąć teraz nie może, że konieczność dobrych z Rosyą stosunków nakazuje mu nawet wyjątkową w tej mierze ostrożność i wstrzemięźliwość« (II 124).

Nawet Książe Napoleon »*jednem słowem nie zachęcał do demonstracyi i tem mniej do powstania*« (II 140) a Walewski radził że

»trzeba postępować, nie trzeba biedz. Taić tego nie można, wszystko coby dało powód do wstrzymania w postępie ulepszeń dziś już uzyskanych, aczkolwiek niedostatecznych

znalazłoby potępienie w opinii publicznej, jak i w rządzie francuskim.« (II, 222).

Ze strony Anglii równie podburzające szalony prąd wypadków do Polski przychodziły przestrogi. W roku 1861

»Ambasador angielski w Petersburgu Napier, podczas bytności tamże Wielopolskiego, napisał do jenerała Władysława Zamoyskiego, pytając ze zdziwieniem, dla czego odmawia poparcia Wielopolskiemu«... »że popierać go należy, że Anglia nigdy więcej dla Polski żądać nie będzie nad to, co dla niej uzyskał Wielopolski« (II, 179).

W końcu wreszcie, gdy Warszawa już szybkim do powstania postępowała krokiem, Napoleon III — *w którego »przewagę i wszechpotęgę«* ufał pan Koźmian, o którego *»wyższości umysłowej«* był przekonanym, którego zachowanie się, uważał za *»rozstrzygające«* kwestyą — jakie wypada mu zająć stanowisko wobec powstania, które uważał za zgubne — otóż ten Napoleon wszechpotężny poważył się dolać oliwy do ognia, wygłaszając w dniu 1 stycznia 1862 roku mowę tak podniecającą nadzieje polskie, że aż szanowny autor czuł się w obowiązku zanotować to ku wiecznej pamiątce historyi i ku swojemu usprawiedliwieniu, że

»przy otwarciu ciała prawodawczego cesarz wypowiedział mowę pokojową i rzekł: »że nic nie ma takiego, coby go z mocarstwami różniło« (II. 239).

Wobec takiej ciągłej prowokacyi ze strony Europy, nie dziwota, że spiskowcy stracili równowagę i przystąpili do zbrojnego powstania. Byliby oni zupełnie uniknęli winy, gdyby pan Koźmian był im wcześniej

wyłożył zasady »*na których polegać winien spisek*« (t. II. 3o3). Byliby się bowiem dowiedzieli, że

> »w zbrojowni politycznej, spisek zajmuje znaczne miejsce. Jako broń, jako środek do pewnych celów, nieraz pokazał się w różnych przedsięwzięciach skutecznym, w niektórych *jedynym i niezbędnym*« (II 3o1), że »zaletą spisku przeważną, iż wprowadza w grę mniej znacznie niż«... »zyskać może,« że »główną siłą spisku jest, jeżeli przeciwnik«... »nie wie o jego istnieniu«... że »niezbędnym warunkiem powodzenia spisku jest dobrze, dokładnie określony cel, który jednym zamachem osiągniętym być może«... że »w tych danych i w tych warunkach spisek stać się może dzielnym i skutecznym środkiem w politycznych przedsięwzięciach« (II. 3o2).

Otóż pokazuje się, że jedyną winą spiskowców było, że działali »*wbrew zasadom, na których polegać winien spisek*« (II. 3o3). Wina to rzeczywiście ciężka, polegająca widocznie na zawiści »Nowej Reformy do Stańczyków,« która sprawiła, że spiskowcy nie czytali w r. 1863 znakomitego dzieła p. Koźmiana p. t. »*Rzecz o roku 1863-cim*«.

IV.

Rzeczą jest zupełnie zrozumiałą, co więcej jest nawet fatalną, nieuniknioną koniecznością psychologiczną, że jeżeli ciągłe te podjudzania Polski do powstania przez Napoleona III-go, popchnęły do zbrojnego ruchu czerwieńców, do których dochodziły tylko głuche wieści z trzeciej lub dziesiątej ręki, to nie mogły one pozostawić w równowadze i spokoju p. St. Koźmiana, który wprost z hotelu Lambert miał

»najlepsze, najpewniejsze doniesienia, że powstanie na żadną pomoc zewnętrzną liczyć nie może, ani na wybuch wojny Europejskiej« (I. 9).

Przymus moralny takich ciągłych podjudzań ze strony Napoleona III-go, musiał oczywiście wywrzeć »*rozstrzygający*« wpływ na jego umysł i rzucić go w gorączkowe objęcia »*szalonego prądu wypadków*«, które opanowały go, tak »*w pierwszej chwili łatwem do zrozumienia oszołomieniem*» (I. 6), że aż powziął on wraz ze swoimi przyjaciołmi »*nieprzezwyciężony wstręt do tak lekkomyślnie użytego środka.*« (I 6).

W naturalnej konsekwencyi tego psychicznego nastroju przyjechawszy do Krakowa i zastawszy tamże *odnogę spisku warszawskiego pod nazwą* »*Ławy*,« zajął się najgorliwiej wraz z p, Ludwikiem Wodzickim ułatwieniem tejże Ławie stósunków z *Hotelem Lambert*, a szczególniej podnoszeniem znaczenia i powagi powstania przez rozsyłanie przesadnych i kłamliwych wiadomości o potędze tegoż, do zagranicznych dzienników. Zyskał on przez to takie uznanie ze strony rządu narodowego, że jak się dowiadujemy z *krótkiego zarysu czynności organizacyjnych w zachodniej Galicyi*«[1]), został w dniu 9 lipca 1863 r. mianowanym wraz z panem Brzeskim, naczelnikiem biura prasowego i telegraficznego.

Postanowienie to było zupełnie logicznem i koniecznem następstwem ówczesnych wypadków, tembardziej że pan Koźmian wiedząc, że Cesarz Napoleon ani zamierza,

---

[1]) Wydaw. Mat. do Hist. Powst. 1863—1864 t. III. str. XVII.

»ani może wziąść powstania wybuchłego, w drugiej połowie stycznia, za punkt wyjścia do podniesienia sprawy polskiej«... »był stanowczo przeciwny popieraniu powstania i łączeniu się z niem, nie ukrywając swojego zdania i nieszczędząc usiłowań, aby swych przyjaciół i rozsądnych ludzi utrzymać na stanowisku wobec niego odpornem, dopóki nie nadarzy się sposobność i możność potępienia go jawnie« (I 11).

Pan Stanisław Koźmian, obdarzony od najmłodszych lat niepospolitą trzeźwością rozumu politycznego, zrozumiał to odrazu, że każde polityczne działanie musi mieć przed sobą cel możliwy do osiągnięcia. To też odrazu to pojął, że o ile rozbijanie muru głową, jest celem nie do osiągnięcia, a więc rzeczą bezrozumną, to zupełnie możliwem jest namalowanie obrazu, przedstawiającego człowieka rozbijającego mur głową i zyskanie za to dyplomu pochwalnego od europejskiej dyplomacyi. W ten genialny sposób postanowił p. Koźmian innych błąd naprawić, »*wyzyskując jedyne widoki powodzenia zgodne z rozsądkiem,*« »*niepozbawione istotnych warunków bytu*« (I. 248). Wybornie do tego przygotowany grunt znalazł on przez tych »*swoich rodaków, z którymi był złączonym tożsamością przekonań, zapatrywań węzłami wspólnych usiłowań*« (I. 247), a oczywiście przedewszystkiem przez Hotel Lambert, który akcyą wywoływania *niezależnej* opinii francuzkiej dla sprawy polskiej już od dawna systematycznie prowadził. I tak dowiadujemy się od p. Koźmiana, że już podczas wojny Krymskiej

»trzeba było wielkich wysileń Hotelu Lambert, aby za pomocą dziennikarstwa obudzić nieco zajęcia« w Paryżu dla sprawy polskiej (II 61).

Podczas epoki demonstracyjnej »*Staraniem Hotelu Lambert i za pieniądze polskie odzywać się poczęło dzien-*

nikarstwo francuzkie coraz częściej, coraz żywiej« (t. II, str. 81).

Również stan umysłów w Krakowie usprawiedliwiał zupełnie trafność obranej drogi przez p. Koźmiana.

»Czas«... »który używał wtedy wielkiego pojęcia i znaczenia«.., »w którym szukała wskazówek część społeczeństwa rozsądniejsza i politycznie od innych wytrawniejsza«... »przez lata 1860—1863, z małemi w początkach wyjątkami, czasem ostrożnie, to znowu niebacznie, ale systematycznie sprzyjał ówczesnemu ruchowi, pochwalał takowy, nie wpływał na niego, lecz dał się mu kierować; nie wskazywał należycie niebezpieczeństw; nie dał z początku dostatecznego Wielopolskiemu poparcia« — jak wyraża się autor o insynuacyach i szerzeniu od pierwszej chwili rozdrażnienia przeciw systemowi Wielopolskiego — »następnie całkiem przeciw niemu się zwrócił i przyczynił się do fatalnego rozwoju wypadków »których epilogiem stało się powstanie« (I. 8).

To też pan Koźmian połączył się z »Czasem« najczulszą przyjaźnią, która po rozbiciu Langiewicza 19 marca, wprowadziła go do Redakcyi, której wreszcie ogólny kierunek objął 11 kwietnia 1863 r.

W ten sposób zyskał pan Koźmian płótno, na którem mógł się zabrać z całem poświęceniem do tworzenia swojego obrazu, papierowych wysilków narodu, a więc do dzieła wykonalnego, »*zgodnego z rozsądkiem.*«

»Z Hotelu Lambert nadchodziły naglące zalecenia, iż potrzeba popierać powstanie, aby wyzyskać widoki porozumienia się mocarstw, co do działania dyplomatycznego, które zawieść je musi dalej niż chcą i *iść mogą*« (I. 70).

»Grono Krakowskie zasilało za pośrednictwem Hotelu Lambert, i na jego żądanie rząd francuzki i dzienniki zagraniczne, zwłaszcza paryzki, wiadomościami telegraficznemi i listownemi o powstaniu i wypadkach. Było to potrzebnem, aby rozgrzewać opinię publiczną, a podnieść korespondencyę dyplomatyczną» (I, 76).

Z całą więc gorliwością i poświęceniem bez granic płodził p. St. Koźmian *„bitwy i potyczki telegramowe i nie wolne od przesady obrazy“* (I, 76), jak się z wrodzoną sobie skromnością i wstydliwością wyraża.

»Pamiętam — opisuje autor — że podczas gdy byłem w *Hotelu Lambert*, nadszedł z Krakowa telegram, donoszący o znacznem zwycięztwie oddziału powstańczego nad wojskiem rosyjskiem. Klaczko odczytawszy mi go, zapytał czy to być może? »O tak — odparłem — skoro nie ja wysłałem telegram« (I, 87).

Prosta więc rzecz, że do naprawienia błędów cudzych,

»przy wyzyskiwaniu widoków powodzenia zgodnego z rozsądkiem«... »nie pozbawionych istotnych warunków bytu,« nie wytwarzał ani on, ani jego przyjaciele tych widoków sztucznie« (I 248),

bo przecież, jak powiada znakomity autor: *„Nie łudząc się sami, chcieliśmy łudzić zagranicę“* (I, 87). Naturalnie, że, jeżeli cała ta akcya bióra prasowego pobudziła czerwieńców i spiskowców do szalonych przedsięwzięć, i dla tego włożyła na nich wielką odpowiedzialność za nieszczęścia krajowe, to p. Koźmiana i jego przyjaciół pozostawiła bez żadnej winy; bo przecież, będąc mechanikami tego przedstawienia, nie oddawali się oni żadnym *zgubnym* złudzeniom.

Skutek osiągnięto świetny, w sam raz taki, o jaki się starano. Nie mogąc się opędzić polskiej żebraninie, postanowił Napoleon użyć sprawy polskiej do rozbicia konwencyi prusko-rosyjskiej, zawartej 8-go lutego 1863 r. Zorganizował więc wielką papierową akcyą, do którei wciągnął całą Europę, a jednocześnie pozwolił prasie półurzędowej pisać dwuznaczne a gorące artykuły, nawzajem się zbijające. Może być, że Mazzini lub Kossuth

w podobnym wypadku byłby powiedział, że uważałby się za zdrajcę swojego narodu, gdyby, bez żadnych realnych gwarancyi śmiał był wpychać swoją ojczyznę w rezykowne przedsięwzięcia; p. St. Koźmian jednak za silnie stoi na konserwatywnym gruncie, za wysoko trzyma sztandar zachowawczych zasad, żeby miał iść za zasadami moralnemi, głoszonemi przez partyą przewrotu! Dla tego niezawodnie poucza on nas, że

„Tak trzeźwo zresztą sądzić o położeniu mogą tylko ludzie, oceniający wypadki po ich spełnieniu, z punktu widzenia czasów, w których żyją, nie zaś tych, w których zaszły zdarzenia. Taki sąd nie jest jasnowidzeniem historycznem, lecz prorokowaniem przeszłości« (I, 4).

A mnieby się zdawało, że nastały czasy, w których rewolucyoniści muszą uczyć się sztuki spiskowania od przedstawicieli zasad chrześciańskiego konserwatyzmu, gdy przeciwnie ci ostatni muszą szukać nauki moralności politycznej i politycznego rozumu u naczelników europejskiego przewrotu.

Rzeczywiście, iż ówczesne położenie dawało tak poważne gwarancye, że armia francuzka lada chwila wkroczy na ziemię polską i polską ogłosi niepodległość, że p. Koźmian musiał stracić równowągę.

Przecież w trzy dni przed zawarciem konwencyi, p. Billaut w mowie o stósunkach w Polsce, wyrzekł w Izbie francuzkiej,

»że autonomia tego kraju, więcej mogła spodziewać się od wspaniałomyślnych i liberalnych uczuć wielkodusznego cesarza Rosyi, jak od ruchu powstańczego, którego usiłowania mogą tylko nowe sprowadzić klęski na ten kraj nieszczęśliwy« (I, 17);

przecież »cesarz«

»dał do zrozumienia, że jego działanie będzie zależnem od Anglii i Austryi« (I, 36);

przecież nawet sam p. Mocquard, sekretarz Napoleona III, wyraził się:

»Rozszerzcie terytoryalnie powstanie, gdyż może to wpłynąć na rozmiary, w których zażądanem i objętem będzie uznanie praw narodowych« (I, 42);

przecież w liście, pisanym z Wiednia do p. Koźmiana i spółki w dniu 12 marca 1863, pisano, że

»cesarz *Napoleon* był tak *pewnym* wyłącznie dla siebie *przyjaznych usposobień* cesarza *Aleksandra II* w kwestyi polskiej, iż pokazał się przy układach obojętnym« (I, 49).

W lutym otrzymuje komitet narodowy krakowski informacyą z hotelu Lambert przez umyślnie wyprawionego kuryera w dniu 9 tegoż miesiąca, że:

»Cesarz Napoleon nie był na teraz ani w chęci, ani w możności podniesienia orężnie sprawy polskiej«... »że więc nadziei żadnej w tym stanie rzeczy ani mieć, ani dawać niepodobna; ale jeżeli co jeszcze uratowaćby mogło sprawę polską, i dla dzielnicy pod zaborem rosyjskim zapewnić pomyślne lub znośne warunki, to jedynie natychmiastowe, zupełne zaniechanie powstania. Chyba dopiero po zakończeniu takowego, możnaby pomyśleć o interwencyi dyplomatycznej, lub wstawieniu się za krajem« (I, 23). »Wobec powyższego raportu, nikt z ludzi, z którymi znosiliśmy się — czytamy w »Rzeczy o roku 1863« (I, 23) — nie mógł dłużej wahać się ani w sumieniu, ani w sądzie, ani w zdaniu. To też w naszem gronie, postanowienie stanowcze niepopierania powstania, a następnie potępienia go i powstrzymania dalszego jego rozwoju, oraz udziału w niem Galicyi, powziętem zostało jednomyślnie.«

Wielka szkoda, że kuryerowi nie spieszyło się widocznie z tak ważną wiadomością, skoro nadeszła ona do

Krakowa dopiero 16 lutego, t. j. w 7 dni, a tymczasem »Czas« uznał w dniu 13 lutego powstanie za *narodowe* (Nr. 35 »Czasu«). Zaraz jednakże po przybyciu kuryera, tegoż samego dnia, jak opisuje p. Koźmian, t. j. 16 lutego 1863 r. nadeszła cyfrowana depesza, zalecająca w następujących słowach podniecanie powstania:

»Wszystko zmienione, instrukcye uważajcie za niebyłe. Trzeba najdłużej przetrzymać walkę. Dalsze polecenia listownie (I, 24).«

Pokazało się, że zmianę wywołała rozmowa ks. Władysława Czartoryskiego z cesarzem Napoleonem, której treść przywiózł Stanisław Tarnowski, który 20 lutego był w Paryżu, a pod koniec tego miesiąca przyjechał do Krakowa:

»Treść jej niepewna, niestanowcza« — powiada autor — »ale jednak zachęcająca, cesarz bowiem dał do zrozumienia, że jego działanie będzie zależnem od Anglii i Austryi, których zapytywał, jak się myślą zachować« (I, 37).

Wobec takich jasnych, nieulegających najmniejszym wątpliwościom zamiarów »najpotężniejszego władzcy,« wobec tak silnych gwarancyi, które dał on ks. Władysławowi Czartoryskiemu; oczywiście, że zarówno Hotel Lambert, jak p. Koźmian i spółka musieli dalej prowadzić swoje dzieło kłamstwa i zniszczenia. Ale nie wątpimy, że w podobnym wypadku Mazzini lub Kossuth — gdyby śmiał był przyłożyć rękę do rozlewu krwi swojego narodu, bez najmniejszych widoków, bez najmniejszych gwarancyi osiągnięcia celu; gdyby nie był przestrzegł swoich ziomków przed zastawionemi na nich sidłami — uważałby się za nikczemnego zdrajcę swojej ojczyzny, za prostego agenta prowokacyjnego tych




„legacyi sąsiednich,“ o których Wielopolski pisał jeszcze pod koniec 1861 r. z Petersburga, że

»w kierunku szkodliwym tykają się kwestyi *Królestwa*, dla wszelkich tutaj reform niechętne, aby utrzymać w Europie na ich korzyść straszydło w nienaruszonej mocy; lecz tu wielu na tem się poznaje.« —

Niestety, choć w Petersburgu jeszcze w r. 1861 *‚wielu się na tem poznało,“* ale polskim jednak mężom stanu nie wystarczyły na to dwa lata!

V.

Pan Koźmian, jako człowiek sumienny, wybrał się w podróż dla poznania prawdy u samego jej źródła. Dnia 24 marca wyjechał do Paryża. Ale cóż, tu dopiero przekonał się, jak myślą szczerze wszyscy o sprawie polskiej, i jak wyborny skutek osiągnęły jego telegramy, któremi nie wywoływał sztucznie jedynych widoków powodzenia.

P. Nigra, ambasador włoski w Paryżu, opowiadał p. Koźmianowi, że

»zajmujące dzieją się tam (w Polsce) rzeczy«... że »zdaje się, że dobrze idzie powstańcom, a widzi w dziennikach, że teraz będzie miało powstanie nawet flotę« (I, 92).

P. Téxier, redaktor dziennika *Siècle*, opowiada, że dawał rady cesarzowi, ale dodał: »Nie chciał mnie usłuchać, radziłem mu, aby na początek pchnął natychmiast czterdzieści tysięcy Szwedów na pomoc powstaniu. Nic nie zrobił. Teraz za późno« (I, 80).

Minister Walewski pocieszał znakomitego inscenera polskich bitew, słowami:

»Ależ teraz z wiosną, będziecie mogli korzystniej walczyć«... »bo drogi będą lepsze i będziecie mogli wysunąć naprzód armaty« (I, 88).

Na domiar nieszczęścia, trafiło to wszystko na umysł porwany szalonym prądem wypadków, a prąd ten zaraz po upadku Langiewicza 19 marca, takie oszołomienie i energią na nowo wywołał w kraju, że aż *„ludzie z Rady naczelnej galicyjskiej"* świeżo rozwiązanej przez komisarza Rządu Narodowego *„oświadczyli się stanowczo za zakończeniem powstania"* (I, 162). To też p. Koźmian i przyjaciele, *wobec widoków zewnętrznej pomocy, nie chcieli już teraz tego zakończenia"* (I, 162).

I słusznie, skoro

»zaraz po rozbiciu Langiewicza, cesarz Napoleon rzekł do ks. Władysława Czartoryskiego: »No, teraz już wszystko skończone, klęska zdaje się być stanowczą i trudno po niej cośkolwiek przedsięwziąść. Na to ks. Czartoryski — zgodnie z prawdą — odrzekł: że nie, że acz przykre rozbicie Langiewicza, nie kończy wojny partyzanckiej, że w obecnem położeniu innej prowadzić nie można; tłómaczył warunki tej wojny w Polsce, że ostatecznie rozbicie Langiewicza, jest tylko rozbiciem jednego oddziału, lecz, że właściwością tej walki jest, iż kiedy jeden oddział jest rozbity, na innych punktach ukazują się inne; że *jeżeli to potrzebnem jest dla ułatwienia działania europejskiego za Polską*, niezawodnie nowe oddziały staną do walki. Cesarz z *pewnem zdziwieniem* usłyszał tę odpowiedź, i swoim zwyczajem powiedział, nic nie rozstrzygając: «A jeżeli tak, to co innego, to zobaczymy; bo oczywiście, gdyby nie było już powstania, zniklby powód wmięszania się mocarstw« (I, 73).

Przypuszczać należy, że ks. Czartoryski wziął za zdziwienie u cesarza, wyraz nietajonego politowania, które się słusznie należało najznakomitszemu reprezen-

tantowi naszego narodu, poważającemu się obnosić tak lekkomyślnie przyszłość swojej ojczyzny po europejskiej tandecie.

VI.

Wrócił więc p. Koźmian do Krakowa, pełen otuchy, że wolno mu bez skrupułów sumienia przyjąć na siebie rolę linoskoka — skoro hotel Lambert zamienił się w budę jarmarczną, a mógł przyjąć tą rolę tem spokojniej, że postarał się o to, żeby dla niego lina zawieszoną była zaledwie parę piędzi nad ziemią. Wróciłem z przekonaniem, powiada autor, że:

»Cesarz Napoleon«... »zawiedzionym się widzi w tej chwili, w dwóch jedynie racyoalnych i możliwych sposobach załatwienia sprawy polskiej — przez Rosyę pokojowo, przez *Austryę zbrojno*. Na razie nie ma środka przyjścia w pomoc Polsce, a przecież o nim *przemyśliwa*, jak świadczy świeża z ks. Czartoryskim rozmowa (I, 95).

Przybywszy do Krakowa, poszedł najpierw do Adama Potockiego.

Tu zastał on znowu zapał i pewność dobrej przyszłości, które go musiały utwierdzić w przekonaniu, że powstanie trzeba koniecznie dalej inscenować, skoro tak świetne przez to przedsiębiorstwo uzyskano dla kraju korzyści.

»Adam Potocki« — jak mówi autor — »uśmiechnął się z gorzką ironią i smutkiem, wskazując jak zawodnemi okazują się nadzieje oparte na wierze w Napoleona III, jak dalece na błędną został wepchniętym drogę« (I, 105).

Widocznie jednak pan St. Koźmian musiał rozwinąć wielką erudycyą dla przekonania go o niezawodnie obiecanej interwencyi, skoro jak powiada:

»W długiej rozmowie przyszliśmy zgodnie do przekonania,... że chociażby wobec małych warunków powodzenia dyplomatycznej interwencyi, przyszło kilku odważnym ludziom wystąpić przeciw powstaniu, byłoby to na razie bezowocnym czynem, a wreszcie, że skoro już tak daleko zaszły rzeczy, pora, w której interwencya europejska jest *urzędownie zapowiedzianą*, byłaby niewłaściwą i niestosowną do podobnego zamiaru« (I, 106).

W ten to sposób był pan Koźmian przez wszystkich i przez wszystko partym do wytrwania przy powstaniu, gdy zaszedł jeden z najważniejszych faktów, a mianowicie, gdy 12 kwietnia nadeszła do Krakowa depesza o amnestyi, udzielonej przez cesarza Aleksandra II.

»Wtem drzwi się otwierają — opisuje p. Koźmian — i wchodzą Adam Potocki i Henryk Wodzicki. Obaj ci znakomici ludzie wiedzieli już o amnestyi«,... »obaj«... »Adam Potocki gorąco, Henryk Wodzicki spokojniej, przemawiali za przyjęciem amnestyi« (I, 111).

Gdy pan Koźmian okazał wahanie, »*wtedy Adam Potocki zawołał*« temi pamiętnemi słowy: »*Na wasze głowy spadnie cała krew, która odtąd wylaną zostanie i wyszedł*« (I, 112).

Oczywiście, że groźba była bezowocną, była bowiem bezprzedmiotową. Na to, żeby obawiać się o swoją głowę, trzeba przecież posiadać to siedlisko rozumu; a wiemy, że Pan Koźmian z góry go się wyrzekł, zakazując pod nieważnością sądu, dotykać się przy rozpoznaniu jego działania, wszystkiego co ma z rozumem jakikolwiek związek. W tem drażliwem położeniu poszedł on szukać światła u jedynych, niezamąconych rozumem źródeł prawdy, *niepozbawionej istotnych warunków bytu*, czyli uznał »*za stosowne, może pożyteczne*,

zasięgnąć rady właściciela »Czasu« Wincentego Kirchmayera« (I, 114).

Tam zastał on depeszę o papierowej interwencyi mocarstw. Oczywiście więc, że postanowiono prowadzić dalej papierowe powstanie, co zresztą dla istotnych warunków bytu »Czasu« było rzeczą bardzo korzystną.

Wtem w czerwcu, jak piorun z jasnego nieba, pada znowu strzał, który o mało że nie zamącił tej wygodnej papierowej walki narodowej. Paweł Popiel świętokradzką ręką targnął się na mechanikę, tak wybornie od samego początku powstania funkcyonującego kalejdoskopu, poważył się bowiem twierdzić,

> »iż nie pozostaje nic innego, jak dać poparcie i z tego wielkiego złego starać się wydobyć coś dla sprawy korzystnego«. — Przemawiał on »z zapałem i podniesionym duchem, był w mowie i zachowaniu nawet gorącym, a nie ręcząc wcale za ostateczny skutek, dawał rady... nacechowane pewną wyższością... a między innemi, aby skoro powstaniu należy nadać charakter ogólno-narodowy, cała szlachta polska podpisała manifest przystępujący do walki z Rosyą; chciał jawnego akcesu do powstania« (I, 71).

Zgodnie z tem przekonaniem pan Paweł Popiel, który — choć mu p. Koźmian zarzuca, że był *»silnym w przekonaniu, a chwiejny w zdaniu«* (I, 71) — to jednak w każdym razie nie zachwiał się pomiędzy przekonaniem a czynem, a żądając, by szlachta przystąpiła do powstania, a nie jej manifest, nietylko że

> »zezwolił, aby syn jego Jan, który był oficerem w wojsku austryackiem, a odznaczył się podczas obrony przez wojska papieskie Ankony, wziął udział w powstaniu« (I, 71),

ale wysłał do powstania także swojego syna Wacława i wymagał również od najstarszego swojego syna, Marcina, żeby wsiadł na koń i podążył do obozu. Marcin

jednak, człowiek, w którym głęboki rozum łączył się z niezwykłą siłą charakteru i trzeźwością politycznego zmysłu, słowem obdarzony tą władzą duszy, którą pan Koźmian nazywa pogardliwie umiejętnością »*prorokowania w przeszłości*«, widząc w powstaniu największe nieszczęście dla przyszłości kraju, po bardzo ostrej i bolesnej scyssyi, oparł się po raz pierwszy i ostatni w życiu woli swojego ojca.

I te też tylko dwie drogi stały otworem ludziom dobrej wiary i woli, ożywionym prostem, szczerem uczuciem miłości ojczyzny, odczutej tak, jak ją nasi odczuwali ojcowie. Albo się miało szczere przekonanie, że powstanie jest zgubą kraju, a wtedy obowiązek nakazywał je przerwać, albo też naprawdę dało się porwać szalonemu prądowi wypadków, i uwierzyło się, choć bezpodstawnie w to, że błąd powstania jest do uratowania, że interwencya zagraniczna jest możliwą, a w takim razie:

»Był jeden sposób, aby ratując honor narodowy, cała szlachta, ryzykując życie i majątki, ruszyła solidarnie do powstania; może byłaby pociągnęła część ludu; w każdym razie, takie heroiczne, jawne wystąpienie, byłoby zmusiło nietylko do uszanowania, ale może do pomocy« (t. I, str. 72).

W taki sposób rozumiał akces p. Paweł Popiel. »*Ręczyć za ostateczny skutek*« tego sposobu, nie mógł on, bo nie mógł zań ręczyć nawet Napoleon I, idąc na Moskwę z półmilionową armią; bo ręczyć za ostateczny skutek mogła tylko zfanatyzowana szajka waryatów, wyłamanych z poza krat domu obłąkanych, która przybrała nazwę »Centralnego Narodowego Komitetu.« Ona jedna mogła się odważyć, wzywając bezbronny naród »*na pole walki już ostatniej, na pole chwały i zwy-*

ciężtwa,« bez zająknienia dawać mu zapewnienie zwycięztwa, które — jak powiada odezwa 22 stycznia 1863 wydana do narodu: — »*jedyny legalny Rząd Twój Narodowy Ci da i przez imię Boga na Niebie dać przysięga.*«

VII.

O ile rozum w działaniu politycznem osądzić można tylko po skutkach, tylko po owocach, o tyle do osądzenia dobrej wiary i szczerości zamiarów, czy to w udanej czy w nieudanej, czy to w rozumnej, czy to w szalonej akcyi, jedyną miarą jest wielkość włożonego w sprawę poświęcenia.

Rozum może, a nieraz nawet musi błądzić w obiorze drogi politycznej, ale w najwięcej bezrozumnem działaniu szczere, czynne poświęcenie stanowi naturalną granicę, stanowi tamę, po za którą nie może się przelać wzburzona fala szaleństwa lub głupoty.

I rzecz to prosta. Gdyby kto n. p. rozbicie muru głową, uważał za swój święty obowiązek, to przystępując do tego obowiązku szczerze i z poświęceniem, w bardzo krótkim czasie albo by sobie roztrzaskał głowę, albo nabiwszy guza, nie mógłby się dalej oddawać temu bezrozumnemu zajęciu. Przeciwnie dokładając do tej akcyi mniej poświęcenia, mógłby on do śmierci marnować czas na idyotycznem pukaniu głową o mur, lub narazić się wreszcie, na zamknięcie w domu waryatów.

W tem poczuciu niezbędności dobrej wiary, szczerości i poświęcenia w działaniu politycznem, przetrwało to pokolenie, które przeszło pół wieku temu, walcząc z bronią w ręku za ojczyznę, żyło potem tylko myślą

wznowienia walki narodowej i wyczekiwało z ciągłym niepokojem tej chwili, w której brzmiące hasło wojenne na koń znowu powoła ich lub ich synów. Dla nich sprawa narodowa była rzeczą świętą, której nie powinien kalać żaden fałsz, żadne kłamstwo, żadna obłuda. Oni walkę narodową wyobrażali sobie jako wytężenie wszystkich sił poświęcenia, jako dzień tego żniwa, w którem nie okupi się nikt frazesem, kłamstwem i obłudą, w którym kąkol oddzielonym zostanie od pszenicy, w którym ludzie bez ognia miłości w sercu, oddani zostaną sądowi historyi i w ogień hańby rzuceni. Bo wszystko można udać, wszystko można skłamać, oprócz miłości ojczyzny w chwili, gdy ta ofiary krwi żąda od swoich synów. Można nie uznać tego żądania, ale uznawszy je, trzeba się poświęcić, albo zejść z pola z piętnem komedyanta, który święty płomień poświęcenia poniża aż do oświecania nim budek jarmarcznych kuglarzy.

Gdyby głos, gdyby czyn, gdyby zdrowe ziarno rzucone przez pana Pawła Popiela nie było padło między ciernie, nie było padło na grunt wyjałowiony chwastem fałszu, kłamstwa i obłudy, to prawdopodobnie nie byłoby się uniknęło nieszczęścia, nie byłoby się »*zmusiło do pomocy*,« ale zmusiłoby się było do »*uszanowania*,« ale oszczędziłoby się było polskiemu narodowi wstydu, jakim pokryło sprawę polską to haniebne tragi-komiczne widowisko walki narodowej. Po uciszeniu się burzy, z palących się zgliszczów zmarnowanej przeszłości, byłoby przynajmniej nowe pokolenie wyniosło jeden skarb, jedną iskrę, oświecającą jej drogę przyszłości, a tą jest żywe wspomnienie szalonej, ale czystej, ale szczerej ofiary. Do księgi naszych nieszczęść narodowych przybyłaby była jedna karta, karta czarna wpraw-

dzie, ale pisana skrzepłą krwią naszych braci, a nie błotem i kałem kłamstwa.

Prawdziwy zapał nie trwałby był długo, bo bez powodzenia trwać on nie może. *Bióro prasowe* zasmakowawszy przez kilka tygodni w rozkoszach maszerowania z pięścią lub z kosą na armaty i gwintowane karabiny rosyjskie, straciłoby było za powrotem do Krakowa ochotę do pozowania przez półtora roku na naród, prowadzący wojnę na śmierć z moskiewskim zaborem.

Powstanie doszłoby było do swojego kresu i nastąpiłaby była represya, ale represya nie przeciw narodowi, okrytemu hańbą nikczemnego frymarczenia swoim patryotyzmem, składającemu na ołtarzu ojczyzny zamiast ofiary krwi, ofiarę zbrodni politycznej, ofiarę kłamstwa i ofiarę atramentu. Prawdziwy zapał, prawdziwe poświęcenie umie nawet w zwyciężonym uszanować przeciwnik, ale trudno żądać, żeby uszanował te pieczątkowe tajne rządy, oparte na skrytobójstwie, złożone albo ze sfiksowanych fanatyków, którzy udając rząd narodowy w Warszawie, na szubienicy jedynie mogli złożyć dowód szczerości swoich przekonań; albo z ludzi pozujących na poświęcenie, którzy w Galicyi bezpieczne znajdując schronisko, utrzymywali tam na żołdzie nędzną gawiędź najemnych uciekinierów, reprezentujących przed Europą narodową polską armią, walczącą do ostatniej kropli krwi za niepodległość ojczyzny.

Repressya nie miałaby piętna bezwzględnej zajadłości, płynącej z pogardy narodu, który nie mając odwagi zajrzeć w oczy potężnemu przeciwnikowi, drażnił go jak komar lwa, papierowemi walkami, papierowemi zwycięztwami i papierowemi koalicyami Europy, któ-

rych jedynym skutkiem było bezcelowe dla nas krzyżowanie akcyi dyplomacyi rosyjskiej.

Ale darmo, poniżenie i zgubne skutki z tego rodzaju akcyi mogli tylko czuć ludzie starej daty, którzy nie potrafili rozszerzyć nadość swojego rozumu, stósownie do rozszerzenia się zdobyczy nowoczesnych pojęć i nie mogli nadość rozszerzyć swojego serca, by w niem pomieścić ten ogrom miłości ojczyzny, którą goreją pan Koźmian i przyjaciele.

To pokolenie, które krwią znaczyło pola Grochowa, Wielkiego Dembego, Igań i Ostrołęki, zostało już daleko po za dzisiejszem w potędze miłości do kraju. Podczas gdy w ich sercach iskra patryotyzmu tliła się skromnie w popiołach przeszłości, bucha ona dziś coraz to szerszym, coraz to potężniejszym płomieniem, ogarniając horyzonty uczuć, których oni nawet nie przeczuwali.

Wiedząc więc o tem, że:

> »przedsięwzięcia bezpodstawne posługiwać się muszą kłamstwem w większej mierze niż inne;« że »przesadne i z umysłu optymistyczne doniesienia, na razie były pomocnemi, lecz przyczyniły się do następstw szkodliwych;« wiedząc, że »złemi środkami, dopomódz można rozumnym przedsięwzięciom, bezrozumnych, zaś nie zbawia się niemi a pozostaje tylko upokarzające wspomnienie ich użycia« (I, 76),

postanowił pan Koźmian i spółka, utrzymać sprawę narodową na jedynie rozumnej drodze, na której mógł być osiągniętym cel odpowiedni ogromowi poświęcenia *Bióra prasowego.* Niebezpieczne i szkodliwe rady pana Pawła Popiela były z energią odparte jako »*za daleko idące,*« »*całkiem niewykonalne,*« bo też zdaniem pana St. Koźmiana »*akces, który on zalecał, nie był wykonalnym i byłby tysiące naraził*« (I, 76), a dodać przy-

tem trzeba, że byłby zniszczył jedynie możliwy papierowy zapał i poświęcenie autora »Rzeczy o r. 1863,« z którego tenże wielkie sobie dla sprawy obiecywał korzyści. To też historya musi pana Pawła Popiela uznać jako jednego z głównych i niebezpiecznych podżegaczy, który wielką przed przyszłością dźwiga na sobie winę, za usiłowanie wprowadzenia na fałszywe tory toku myśli pana St. Koźmiana i spółki.

VIII.

Na szczęście dla »Bióra prasowego,« kierownictwo jego złożyła Opatrzność i »rząd narodowy« w ręce męża, który się nie da łatwo zepchnąć ze szlaku prawdziwego poświęcenia. Pan St. Koźmian, który jak już wiemy, nigdy *sztucznie nie wytwarzał jedynych widoków powodzenia,*« przystąpił teraz ze zdwojonem poświęceniem do patryotycznej pracy. Przeżyty przesąd ludzi starej daty, jakoby w orężnej walce narodowej, zaangażowanym był narodowy honor wojskowy, nie potrzebował już krępować patryotycznego działania szanownego naczelnika bióra, co zostawiło mu zupełnie wolne pole do puszczenia wodzy swoim patryotycznym objawom. Wiedząc, że »*w warunkach, w których walkę przedsięwzięto, nie mogło być mowy o narażeniu dobrej a dawniej zdobytej sławy oręża polskiego*« (I, 129), czując, że w naturze nie może być próżni, zrobił on największe z siebie poświęcenie, bo nie zawachał się swojego własnego honoru rzucić w ofierze sprawie ojczystej.

Nowe prądy nowych wymagają ludzi... i nowych poświęceń. Drut telegraficzny pracował dzielnie, para roznosiła sławę zwycięztw i tryumfów polskiego oręża

po wszystkich stolicach Europy, ale przecież od czasu do czasu trzeba było mieć aby jaki taki namacalny dowód, że walka wre na całym obszarze ziem polskich, że krew polska się leje od morza do morza. Bo przecież sam Książe Władysław Czartoryski, jakeśmy widzieli — ofiarując cesarzowi Napoleonowi bilet na to tragi-komiczne widowisko polskie, zobowiązał się do pewnego stopnia afiszem, że prawdziwą krew także wytoczy od czasu do czasu ze swojego kozła ofiarnego. Wprawdzie zadatku nie wziął za bilet ani grosza, ale słowo dane obowiązuje uczciwego przedsiębiorcę.

Zresztą, jak wiemy, pan Koźmian w Paryżu naocznie się przekonał, co za szalone optyczne złudzenie wywołał zarówno na dziennikarzu, jak na włoskim mężu stanu i francuskim ministrze. To też z lekkiem sercem i najlepszą otuchą zasiadał on w razie potrzeby do fabrykacyi krajowych wyrobów patryotyzmu. Sypały się w »Czasie« opisy świetnych zwycięztw narodowych i zapewnienia niechybnej interwencyi zagranicznej. Na ten lep, łapało się kilku, czasem kilkunastu młodzieńców szczerego i gorącego serca, pragnących walczyć za ojczyznę. Złowiwszy ich, posyłało się ich do Królestwa na niechybną śmierć, dodając im jako figurantów płatną gawiedź, złożoną z kilkuset uciekinierów, która oczywiście stósownie do swojego przeznaczenia, zmykała na drugi dzień do Galicyi, podczas gdy biedacy ci, rozgoryczeni, zmrożeni we wszystkich swoich uczuciach i oszukani w swoich nadziejach, widząc się pomiędzy hańbą sromotnej ucieczki a śmiercią bez celu i sławy, wybierali tą ostatnią, której cudem tylko niektórzy z nich uniknęli. Tyle też tylko było potrzeba, by znów głosić nieczułej Europie, że powstanie trwa ciągle, że krew polska leje się bezu-

stannie na polskiej ziemi, a zwycięzki oręż polski coraz to groźniej daje się Moskalom we znaki.

Nie można dość często powtarzać, że to wszystko było ze strony naczelnika bióra prasowego wynikiem oszołomienia, uniesienia przez szalony prąd wypadków, których *sztucznie nie wywoływał* ani on, ani jego przyjaciele, gdyż jak mówi:

»Wogóle poczytywaliśmy całą interwencyą dyplomatyczną, przeważnie jako środek zerwania stosunków między Rosyą a mocarstwami, wciągnięcia Anglii i Austryi w zamierzone przez Francyę działanie i *wywołanie wojny*« (I, 129).

Naturalnie, że pan Koźmian i jego przyjaciele oddali sprawie narodowej jak najpoważniejsze usługi swojem działaniem, przeciągnęli bowiem do kilkunastu miesięcy bezużyteczny rozlew krwi, który bez ich pomocy i bez wywołania przez nich pisaniny dyplomatycznej, byłby się skończył po kilku tygodniach. Przypomina nam p. Koźmian tą zasługę, mówiąc, że »*bez widoków obcej pomocy, powstanie nie mogło mieć trwałości nad parę miesięcy*« (I, 46).

IX.

Zważywszy więc, że cała działalność tych panów była widocznie bez żadnego wpływu na bieg wypadków; skoro jak mówi Szanowny Autor:

»Odmawiając Rządowi narodowemu warszawskiemu współudziału, odcinaliśmy go, a zatem powstanie od zagranicy«... »narażaliśmy całą rzecz wobec zagranicy na szwank zupełny, a wypadkom w Polsce odejmowaliśmy przed Europą znaczenie narodowe, a nadawali rewolucyjne i demagogiczne« (I, 187);

zważywszy dalej, że działalność tych panów do tego stopnia nigdy nie posługiwała się wywoływaniem sztucznych warunków powstania, że gdy w czasie objęcia rządów przez Ignacego Chmieleńskiego i innych Mierosławczyków, oni

»uznając szkodliwość wielką przyjętego chwilowo kierunku, czy też samozwańczego *Rządu Narodowego*, powstawali przeciw niemu, a gdy nie mogli uzyskać zadośćuczynienia, oświadczyli, że usuwają się i przestali przez dni kilka zasilać zagranicę wiadomościami o powstaniu«, to »nastała w Europie zupełna o wypadkach w Polsce cisza, ustało powstanie dla Europy« (I, 194);

a za tem najwyższy trybunał sądu historycznego, złożywszy wagę sprawiedliwości dziejowej w ręce pana Stanisława Koźmiana, oświadcza: iż po dokładnem rozważeniu wszystkich okoliczności i po przesłuchaniu świadków doszedł do sumiennego przekonania, że:

»*Przystąpienie pana Koźmiana i przyjaciół jego do Rządu Narodowego nie pogorszyło położenia*« (I, 188), że więc ci panowie w niczem na klęski krajowe nie wpłynęli, lecz przeciwnie

»poprawiali tylko błędy innych,« »wyzyskując jedyne widoki powodzenia zgodne z rozsądkiem, acz ostatecznie zawiedzione, nie pozbawione istotnych warunków bytu,«

że »*nigdy widoków tych nie wytwarzali sztucznie*«; że »*bezrozumu nie popełnili*,« że przeciwnie »*strzegli się porywów i lekkomyślności*,« a porwani »*zostali i stali się lekkomyślnymi w skutku błędnych rachub innych potężniejszych*« (I, 248).

Wobec tego trybunał najwyższy nie tylko zwalnia pana Koźmiana i spółkę ze wszelkiej winy dla braku istoty czynu, ale nadto czuje się obowiązanym wy-

razić mu swoje najżywsze uznanie, że z taką szlachetną skromnością, oszczędzając głównych winowajców, przyjmuje na siebie część winy, która na nim nie ciąży, mówiąc:

»Zawiniłem nie mniej jak inni, ale mogę sobie przyznać, że nie więcej jak inni« (I, 118).

»dopuściliśmy się błędu i znacznie przyczyniliśmy się do szkody ogólnej, dlatego twierdzę, że skutek stał się nietylko wyrokiem ale i nauką« (I, 248) naturalnie dla innych.

X.

O uspokój twoje skrupuły szlachetny synu ojczyzny! Historya czułą jest matką, sądzi ona po skutkach siłę politycznego rozumu, ale wie, że rozum łatwo niedopisuje śmiertelnym i dlatego błędy rozumu szybko ona puszcza w niepamięć. Ma ona drugą szalę sprawiedliwości, wobec której wszyscy są równi i ci co jasno położenie kraju przejrzeli, i ci co błąkali się po manowcach ze szczerej miłości ojczyzny. Tą miarą jest poświęcenie siebie szczere i gorące dla sprawy, dla przekonań, które ze względu na dobro ojczyzny w duszy się naszej wytworzą. To też najszaleńszego fanatyka rozgrzesza głos historyi narodu, jeżeli czynem dowodzi siły swojego przekonania i poświęcenia się. Rozgrzeszy historya nawet tych fanatyków, którzy przysięgali na Boga, że doprowadzą naród do niepodległości, jeżeli to bluźnierstwo było wypływem szczerej miłości ojczyzny, jeżeli miłość zaślepiła do tego stopnia ich duszę, że nie wiedzieli, że bluźnią, że zdawało się im, że najdoskonalsza Istota, jaką jest Bóg, nie może opuścić »*najczystszej, najdoskonalszej*« sprawy ich ojczyzny, jeżeli głosząc dla drugich hasło zwycięztwa lub śmierci,

sami swoje kości wraz z innymi na jałowem pobojowisku złożyli. Wtedy ta historya zawoła do Boga wszechświata: »*Panie odpuść im bo nie wiedzą co czynią*« i przebaczy Podlewskiemu, przebaczy Zygmuntowi Sierakowskiemu, przebaczy Zygmuntowi Chmieleńskiemu, przebaczy Traugutowi, przebaczy setkom innych dzielnych wodzów, którzy ideał swojego życia krwią zapieczętowali. — A jakżeż miałoby dręczyć sumienie człowieka, który stokroć więcej poświęcił jak wszyscy bohaterowie, którzy od wieku »po wszech ziemiach, po wszech wodach siali przyszłej Polski siew, Boże ziarno, własną krew!«

O tak jest poświęcenie, którego ci ludzie nie byli zdolnymi, do którego trzeba było wzrosnąć w tem kole »*błędnych, acz szlachetnych wyobrażeń*« (I, 247) przejąć się do dna duszy temi »*dobremi i czystemi zamiarami,*« wśród których wzrósł, któremi się przejął pan Koźmian, żeby być go zdolnym. Wielkie nieszczęścia krajowe zawsze powoływały na widownią takie wyjątkowe potężne dusze, które uczucie i poświęcenie dla kraju potęgowały w sobie i były potem ogniem świętym, przy którym serca młodych pokoleń krzepiły się, by znów w przyszłości stokroć jaśniejszym zaświecić blaskiem.

Zrzuciwszy na Margrabiego, na Napoleona, na szalony prąd wypadków, na Pawła Popiela, na Adama Potockiego, słowem jednem na świat cały odpowiedzialność za swoje szalbierstwa, kłamstwa, tumanienia szlachetnych dobrodusznych biedaków, których wyprawiał, nie łudząc się sam, a więc z zimną krwią, na śmierć bez celu i sławy, dla usprawiedliwienia tylko przed Europą fałszywych swoich relacyi; zrobiwszy ze sprawy narodowej krwawą farsę nędznego teatral-

nego widowiska, na wspomnienie którego rumieńcem musi spłonąć czoło każdego Polaka; kąpiąc się spokojnie przez rok cały w błocie kłamstwa i w kałuży krwi niewinnej; p. Stanisław Koźmian poświęcił z miłości dla sprawy więcej jak życie, więcej jak — z wyjątkiem jego jednego — człowiek szlachetny i prawy poświęcić jest zdolnym. Lecz i tu nie opuszcza go skromność, bo wymawiając się »*brakiem dostatecznego wyrobienia charakteru*« (I, 247) widocznie nie chce, by wiedziała lewica, co poświęciła prawica, nie chce, by naród domyślał się całego ogromu jego poświęcenia.

To też nie dziwota, że »znakomite« jego dzieło spotkało się z najgorętszem uznaniem, uznaniem pełnem zapału w społeczności polskich konserwatystów. Ojcowie i matki radują się, że synowie ich będą mogli czerpać poznanie dobrego i złego, nurtującego nieszczęsną epokę 1863-go roku z niezamąconego niczem źródła prawdy historycznej. — Nauczą się oni tam, jak to potężne uczucia wywołują zawsze potężne skutki, jak okłamywanie Europy sprowadziło papierową interwencyą, a ta wytworzyła konieczność okłamywania dalszego i dalszej ofiary krwi, naturalnie, że nie własnej.

XI.

Pan Stanisław Koźmian umiejąc ogrom swojego poświęcenia skoncentrować w »biórze prasowem« i w redakcyi »Czasu,« ma jeszcze tą nad innymi, na przykład nad Wallenrodem, wyższość, że może obejść się bez Halbana, głoszącego pieśnią jego poświęcenie, obiegającego »*Litwy wsi, zamki i miasta.*«

I to szczęśliwie, bo przepadłby dla potomności jeden z najsilniejszych wyrazów rozpaczy i żalu z powodu nieszczęść narodowych:

»Zaniechanie nieszczęsnego działania, nie zmniejszyło dla nas okropności położenia — woła pan Koźmian. Usposobienie nasze ówczesne, tylko wyrazem »rozpacz« da się określić. Teraz zrozumieliśmy, wobec bezowocności naszych usiłowań, ich zgubność, czuliśmy, iż zapóźno kładziemy im koniec, aby w najmniejszej mierze naprawić złe, wyrządzone sprawie i krajowi. Rozpacz tem silniej opanowywać nas poczęła, że ją dotąd przygłuszała gorączkowa działalność, teraz budziła bezczynność, i nic dziwnego, że niejednemu wobec samobójczego zamachu narodu nasuwały się samobójcze myśli« (T. I, 246).

Na szczęście przyzwyczaiwszy się przez kilkanaście miesięcy wszelkie ofiary krwi robić krwią cudzą na zamienionej w teatralne deski nieszczęśliwej Polsce, pan Koźmian złamany klęskami ojczyzny, poszedł na dyrektora krakowskiego teatru, by tu swobodnie pomiędzy tekturowemi dekoracyami, módz się oddawać rozmaitym scenom bohaterstwa, kończącego się samobójstwem. Stworzywszy sobie w ten niewinny sposób dalszy ciąg wzniosłych wrażeń, które się stały od roku 1863 drugą jego naturą, zdołał on dla dalszych tego rodzaju eksperymentów zachować swoje cenne życie. Pozycya jego jednak była trochę fałszywą, bo nieudany zamiar samobójstwa, zawsze ma w sobie trochę śmiesznych stron; chcąc więc z całego zajścia wyjść z pewną powagą, zabrał się do dokończenia samobójstwa na swoim narodzie, który, jak się pokazało, nie zupełnie się na śmierć był dorżnął.

Ślubuje on więc narodowi, że nie pozwoli mu się męczyć w dłuższej agonii, ślubuje słowami, które świad-

czą nietylko, że ten głęboki rozum polityczny wzbogacił się doświadczeniem 1863-go roku, ale co więcej, że w sercu jego płonie zawsze ten sam czysty i nieskażony duch poświęcenia:

»Gdybym był nie powiem starszym« — zapewnia pan St. Koźmian — »ale więcej wówczas wyrobionym, gdybym był już przeszedł przez srogie doświadczenia 1863 roku, nie twierdzę, abym był w tym wypadku i w tym zbiegu okoliczności inaczej postąpił«.

Zawsze jest to bardzo pięknie ze strony pana profesora filozofii historycznej, że dawszy trójkę z nauk i obyczajów narodowi, nie opuścił go, lecz wraz z nim na nowo klasę repetuje, by go znów do nowej trójki doprowadzić. Ale miłość dla ojczyzny bez granic u pana Koźmiana, jest skarbnicą, która coraz to nowe gotuje nam niespodzianki. Poświęciwszy już dla ojczyzny wszystkie właściwości swojej duszy i serca aż do najświętszych przekonań, stanowiących moralną podstawę każdego człowieka, t. j. aż do pojęć o stósunku swojej duszy do Boga, składał on, jak się pokazało, od 30 lat i ten swój ostatni skarb na ołtarzu ojczyzny, i to składał jak zawsze skromnie, pocichu, bez rozgłosu, i trzeba było dopiero »*Rzeczy o roku* 1863«, żeby to poświęcenie zostało niedyskretnie objawionem narodowi.

Nikt nie myślał o tem, że potężny umysł tego męża stanu, nie dał się, ma się rozumieć, bałamucić farsom, któremi księża tumanią prosty lud, rozczulają dewotki, a straszą dzieci. Ta wysoka intelligencya wiedziała, że właściwie żadnego objawienia nie było na świecie, że to, co księża i głupcy nazywają objawieniem, jest to poprostu wykwitem spółecznego rozwoju ludzkości, ubranym w sympatyczną legendę ewangelii. Dla

jej spopularyzowania, wreszcie dla zadośćuczynienia pewnym aspiracyom serca, trafiającym się u słabych indywidualności, a szczególniej u kobiet, powystawiano kościoły i tam urządzając pewne obrządki ze śpiewami, wpajają w łatwowiernych przekonanie, że Bóg się objawiał ludzkości, że jej podyktował prawa i t. d. Będąc — jednem słowem — przekonanym, że »*nieobliczalny dla nas żywioł mistyczny w narodzie żydowskim stał się twórcą światowej religii*« (II, 309), a nie żadne objawienie, pomimo tego jednak i to przekonanie złożył na ołtarzu ojczyzny i był przez długie lata głównym kierownikiem »*Czasu*«, tego konserwatywno-katolickiego organu, uważającego nie tylko objawienie za jedyne źródło światowej religii, na której straży, aż do przyjścia Chrystusa Pana, postawił Bóg wybrany naród żydowski; ale zarazem głoszącego je za jedyną przystań zarówno dla całej ludzkości, jak dla narodu naszego.

Chcąc ocenić cały ogrom poświęcenia, zrobionego przez pana Koźmiana, trzeba koniecznie przywieść sobie na myśl posągową tą postać, której umysł i serce, rzekłbyś, rzeźbiarz z jednej wyrąbał skały. W bogatej tej naturze wszystkie poglądy, uczucia i czyny, choć na pozór rozpryskują się w barwnej różnorodności, schodzą się jednak w logicznym, ścisłym, jednolitym systemie myśli i uczuć, tworząc doskonałą, w samej sobie zamkniętą, i zgodną z sobą teoryą filozoficzną, której prostota i harmonia dają jej Autorowi prawo do genialności. To też w ośmiu wierszach (II, 309) potrafił on zamknąć cały ogrom wykończonego i związanego konsekwentnie z sobą katechizmu swoich wierzeń, źle się wyrażam, swoich przekonań; bo to umysł za wysoki, żeby miał się poniżyć do wierzenia. Jeżeli w pierwszych dwóch wierszach, jakeśmy to widzieli, potrafił

on stanąć na stanowisku »poważnej«, »pozytywnej« nauki, która pochodzenie religii przypisuje tylko historycznemu rozwojowi rodu ludzkiego, to zupełnie zgodnie z tem przekonaniem widzi P. Koźmian ostateczny cel spółeczeństwa ludzkiego wyłącznie tu na ziemi, utrzymując, że »*zdrowe w starożytności pogańskiej i w chrześciańskich czasach spółeczeństwa*«, *przeznaczone wyłącznie do życia ziemskiego*«.

Oczywiście, że znakomity autor filozof stawia tu genialne, śmiałe horoskopy przyszłych losów ludzkości, otwierając przed nią dwie drogi. Albo drogę zniesienia zupełnego religii, bo ta bez życia spółecznego nie da się urzeczywistnić — sam Chrystus bowiem powiedział, że »*Gdzie dwóch lub trzech zbierze się w Imię moje, ja między nimi będę*« — albo też zupełne obrócenie Kościoła do celów ziemskich, to jest do zrobienia z niego tajnego oddziału policyi państwowej, jak się to dzieje dziś w Rosyi. Zważywszy na to, że w państwie carów zaczynają się już coraz śmielej podnosić głosy za wyzwoleniem religii z pod panowania żandarmów, jak to widzieliśmy u Aksakowa, a jeszcze w śmielszej i o wiele doskonalszej formie u Sołowiewa, należy więc przypuszczać, że znakomity filozof polski łączy w tych poglądach bystrość polityka z głębokością myśliciela, i toruje ścieżki do stworzenia polskiego »prawosławia«, na wypadek, gdyby Rosya naprawdę połączyła się z Rzymem, i gdyby obalając tą główną zaporę zgodnego pożycia i rozwoju dwóch narodów, naraziła na szwank i na niebezpieczeństwo patryotyzm tych polityków, którzy go jedynie na zawiści i sprzeczności interesów z innemi narodami, a szczególniej z Rosyą umieją budować.

XII.

A teraz, pod koniec wieku, zamknijmy nasz obrachunek z panem Stanisławem Koźmianem, który od lat trzydziestu czeka uporządkowania. Rachując się z przeciwnikiem, zawsze miałem tą zasadę, by szanować podstawę, na której się opiera, choćby ta podstawa była z gruntu błędną, fałszywą, byleby tylko była szczerą. Otóż nie ulega dla mnie najmniejszej wątpliwości, że kto chce bronić siebie, swojego stanowiska, swojej dobrej wiary, to z pewnością szczerze chwyta się zasady — a właściwie wytwarza nową, której dotąd nie znała historya — że bezrozumem jest postępowanie jego, chcieć sądzić zasadami rozumu. Przyjmuję więc walkę na polu bitwy obranem przez Autora »znakomitego« dzieła p. t. »*Rzecz o roku 1863*«.

> »Są przedsięwzięcia tak dalece szalone« — powiada Autor — »iż wszelkie w nich rachuby okazać się muszą mylnemi, a rozsądne usiłowania stać się zgubnemi; oraz że *jest bezrozumem, chcieć do nich stósować prawidła rozumu*« (I, 247).

Pomimo całej niedorzeczności tego filozoficznego zdania, godzę się na ten jeden raz na wzięcie go za punkt wyjścia do osądzenia moralnej wartości działania pana Stanisława Koźmiana podczas nieszczęsnych wypadków 1863-go roku.

Zgoda. Skoro apeluje on w swojej sprawie do »*bezrozumu*,« więc poddamy ją pod wyrok »bezrozumu.«

Podczas gdy »*ten*« »*straszny*« *rok polski wlókł się przykro, nieraz wstrętnie, krwawo*«... *bez* »*jednego pięknego wspomnienia*« dla pana Koźmiana, jako jednego

z głównych reżyserów tej dyplomatycznej akcyi, dodającej powstaniu otuchy, bez której powstanie nie byłoby trwało nad dwa miesiące; byli ludzie, którzy tą fatasmagoryą interwencyi europejskiej wzięli szczerze i poważnie i nie wzdrygając się przed codziennym widokiem śmierci na palu szubienicy, prowadzili to szalone dzieło, z wiarą, że zapewnienia udzielane im przez *Hotel Lambert*, za pośrednictwem pana Koźmiana i spółki są prawdziwe, że interwencya zbrojna musi uwieńczyć, musi poprzeć usiłowania szalonego narodu.

Tymczasem skutki szaleństwa płynęły już pełnem korytem. W Wilnie Murawiew srożył się z niesłychaną zapamiętałością. Szubienice wyrywały z polskiego społeczeństwa najszlachetniejszych jego synów, szlachtę i mieszczan gnano gromadnie na stepy Sybiru, ziemię polską konfiskowano i rozdzielano pomiędzy »prawosławnych« synów Rosyi, kościoły kasowano, całe wsie równano z ziemią, na której potem miały się wznieść zielone kopuły cerkwi, tego przybytku chrześciańskiej miłości i cywilizacyi.

Wtedy to

»w sierpniu aresztowano w Wilnie Oskara Awejdę b. członka komitetu, a następnie komisarza pełnomocnego rządu narodowego na Litwie. Na jego miejsce, jako komisarza wysłano do Wilna b. studenta Kijowskiego uniwersytetu, nauczyciela gimnazyum w Warszawie, Głowackiego [1]). — Jak strasznem wówczas musiało być życie w Wilnie, dowodzi fakt, że Głowacki zobaczywszy cały ogrom klęsk, jakie Murawiow na kraj sprowadził — zwaryował w kilka dni, uciekł z Wilna i przybywszy do Warszawy, *uważał siebie za zdrajcę kraju i po części za sprawcę tych klęsk*, poszedł

---

[1]) »Zdaje się Leona, brata literata piszącego pod pseudonimem Prusa (P. W.).«

do cytadeli, aby oddać się w ręce komisyi śledczej. W drodze spotkał go jakiś uczciwy człowiek i zamiast poprowadzić do cytadeli, czego od niego Głowacki żądał, przyprowadził go do mnie — pisze autor artykułu p. t. »Wspomnienia z czasów młodości«[1]). — »Głowacki, chociaż mój dobry kolega uniwersytecki, widocznie mnie nie poznawał, na pytania moje nie odpowiadał, szeptał tylko wyrazy: »Zdrajca, Murawiow, Litwa, cytadela,« czasem ciężko wzdychał i znowu z ust jego spadało fatalne słowo »*Zdrajca*«...

Oto jest sąd podług prawideł »bezrozumu,« którego żądał pan Koźmian. I ma pan Koźmian słuszność. W społeczeństwie szalonem, głuchem, na głos sumienia i rozumu, potrzeba było dopiero rozum stracić, by się zdobyć na głos prawdy. Ale historya sądząc tego nieszczęśliwego waryata, który codziennie zazierał śmierci w oczy z błędnej, szalonej miłości ojczyzny, którego mózg pękł na widok ogromu nieszczęść, które ta szalona miłość na kraj sprowadziła, musi powiedzieć, że człowiek ten zdradził przyszłość kraju, że jest jego zdrajcą, ale zdrajcą szlachetnym. Panu Koźmianowi wolno sobie do słowa zdrajcy dobrać stósowniejszy przymiotnik, n. p. ...»znakomity«... lub »niezrównany,« lub . . . . . jaki mu się jeszcze więcej wyda stósownym.

Może mnie się spytasz Panie »*Naczelniku biura prasowego i telegraficznego*,« mianowany na tą godność wraz z panem Brzeskim przez »Rząd Narodowy,« jakie prawo ja mam do zasiadania na tronie trybunału dziejów. Odpowiem ci, że nie jako sędzia, ale jako świadek staję przed tym sądem; staję, żeby dać świadectwo prawdzie. Gdyście nikczemną dłonią mordowali

---

[1]) Wydawnictwo Materyałów do Historyi Powstania 1863 do 1864. Tom IV. — Zeszyt I, str. 196. Lwów 1894.

moją ojczyznę, ty panie redaktorze i naczelnik ławy krakowskiej p. Alfred Szczepański, gdyście zabijali jej godność, honor i przyszłość, gdyście pamięć i poświęcenie najszlachetniejszych synów Polski hańbili fałszem i kłamstwem, gdyście wreszcie sami składali na ołtarzu waszej próżności i zimnej waszej ambicyi ofiarę z krwi niewinnej krwiożerczemu Molochowi ojczyzny, gdy legły w grobie wszystkie serca, co biły wraz z mojem — nie wiedzieliście o tem, że Bóg powstrzymał topór, który miał już spaść na ostatnią niewinną ofiarę, ofiarę dziecka 15-letniego, ostatniego potomka tej rodziny, która w dziejach naszej niedoli znaczyła swoją drogę ofiarami krwi, mienia i szczęścia osobistego, tej rodziny, której życiem była miłość ojczyzny, hasłem poświęcenie się za nią. Tak jest, uratował wtedy Bóg od niechybnej, bezcelowej śmierci dziecko, ale dziecko, które wypiło cały kielich goryczy, żalu, cierpień i wstydu, dziecko, które widziało, które patrzało swojemi oczami na straszną zbrodnię, którąście dokonywali na ojczyźnie; a uratował je tylko dlatego, by to dziecko stanęło przed wami w chwili, gdy sądzicie, żeście już wszystko wymordowali, co miało jakikolwiek święty ogień w sercu, gdy myślicie, że możecie śmiało i bezpiecznie uchodzić za ludzi poświęcenia i miłości wśród tego nieszczęsnego pokolenia, że możecie śmiało dzierżyć sztandar narodu, z którego wyrwaliście podstępnie wszystko, co było w nim najszlachetniejszego, wszystko, co czynem umiało stwierdzić swoje przekonania i uczucia. Na tych gruzach pracujecie teraz nad upodleniem przyszłych jego pokoleń, niszcząc w nich pojęcie dobrego i złego; zacierając różnicę między szlachetnością a podłością, między komedyanctwem a poświęceniem.

Nie wiem w jakiem otoczeniu i wpływach wzrósł pan Stanisław Koźmian, nie wiem jak rozkwitały te młode serca, na które »*z zewnętrznych wrażeń największe wywołał dla nich teatr w Burgu*[1]); niewiem, jak rozwijały się te umysły, którym

»te świetne przedstawienia wryły się w ich pamięć i one także wywarły wpływ na ich umysłowe usposobienie, na artystyczne upodobania, na rozwój ich rozumu, na ich w wielu przedmiotach zapatrywania[2]);

nie wiem, jak rozżarzały się te uczucia, które miały stanowić dla Autora »Rzeczy o roku 1863« nieprzepartą konieczność zejścia na drogę fałszu i kłamstwa; ale to wiem, że to nie mogły być wpływy osób, wśród których ja urodziłem się i wzrosłem, to nie mógł być wpływ ani mojego ojca, ani księcia Romana Sanguszki, ani pana Adama Potockiego, ani pana kasztelana Wężyka, ani innych poważnych ludzi, którzy w Krakowie byli najbliższymi przyjaciółmi mojego ojca, szli z nim z pewnością ręka w rękę w działaniach i dążeniach do zabezpieczenia lepszej przyszłości ojczyźnie i wszyscy w całym kraju jak długi i szeroki uważanymi byli za przedstawicieli siły i powagi moralnej.

Tu w Krakowie, wśród tych stósunków i tych ludzi, przyszedłem na świat 24 kwietnia 1847 roku, t. j. w rok po rzezi galicyjskiej, wśród dymiącego jeszcze kurzu krwi i dymu pożarów. Gdy ksiądz Jakubowski, rektor pijarów, zapytał mojego ojca, jakie mi daje imię, powiedział, że to, jakie sobie przyniosłem. Dostał mi się więc za patrona święty Jerzy. Na dalsze zapytanie,

---

[1]) »St. Koźmian, Ludwik Wodzicki życiorys.« W Krakowie 1894, str. 16.

[2]) Ibidem str. 17.

jakie drugie imię, odpowiedział mój ojciec: »a po co mu drugie, chyba na to, żeby miał kłopot długiego wyliczania imion przy protokóle, gdy go wezmą do cytadeli lub petropawłowskiej fortecy.«

Z lat dziecinnych tkwi mi dotąd w pamięci wspaniała postać jenerała Chłopickiego, tego bohatera z pod Grochowa; odkąd myślą zasięgnę, pamiętam lwią postać pana Adama Potockiego, pamiętam surową, cierpieniem pooraną twarz księcia Romana Sanguszki, pamiętam kasztelana Wężyka, ks. Władysława Sanguszkę, jenerała Paszkowskiego, pana Franciszka Paszkowskiego, księcia Jerzego Lubomirskiego, pułkownika Tarnowskiego, pana Henryka Wodzickiego i t. d. Zresztą co było w całej Polsce znakomitego sercem i miłością kraju, opierało się zawsze o dom mojego ojca, którego cichem cierpieniem pochylona twarz, jaśniała młodzieńczym zapałem ile razy sprawa kraju i ojczyzny była poruszoną. Wiara w Boga, Najwyższą Prawdę i miłość bezgraniczna ojczyzny, oto było jedyne powietrze, które roztaczał w koło siebie mój ojciec, i w tem powietrzu urodziliśmy się, wzrośli i żyli. — Innego nie rozumieliśmy, nie pojmowaliśmy. Zdawało nam się, że innem powietrzem nie mogą ludzie oddychać, że w innem żyć by nie mogli. To też jak daleko sięgnę pamięcią, jako cel życia pojmowaliśmy wszyscy walkę za ojczyznę. O, bo to pewna, że dzieci żyją zawsze takiem powietrzem, jakie w koło nich roztoczą rodzice, i nie ma siły, któraby mogła wykorzenić z ich serc miłość Boga, prawdy i ojczyzny, jeżeli rodzice w niej widzą jedyny cel swojego życia.

Poświęcenie się, zaparcie się siebie, hart woli, odwaga, czystość uczuć, miłość prawdy, pogarda ziemskiej strony życia codziennego: oto były zasady, które

ojciec nasz wdrażał w nas nie tyle słowami jak czynem i przykładem.

To też pamiętam, że od najmłodszych lat wielkie plany walki za ojczyznę i odbudowanie Polski, były najulubieńszym przedmiotem naszych rozmów i rozrywek. Pracować tymczasem moralnie nad sobą, żeby być godnym kiedyś zaszczytu służenia ojczyźnie, to było najsilniejszą pobudką do umoralnienia się, to było przedmiotem najgorętszych modłów do Boga, to było łącznikiem, łączącym nasze serca z Bogiem. W imię miłości ojczyzny, był nam wstrętnym wszelki moralny brud, wszelki fałsz, wszelka obłuda. — A za to, co rozkoszy doznawałem, gdy może ośmioletnim będąc chłopcem, siadłem czasem wieczór w ciemnym pokoju i oddawałem się wtedy niczem nie zamąconym marzeniom o przyszłej mojej działalności dla kraju. Wtedy snuły się po dziecięcej głowie wspaniałe obrazy, że Bóg sam da mi w rękę nieprzezwyciężony sztandar rycerstwa polskiego, który uchwyciwszy silną dłonią, stanę się drugim Napoleonem Wielkim, ale Napoleonem wyrosłym nie z rewolucyi, ale z woli Boga.

I te niewinne dziecinne marzenia dodawały mi potem otuchy do pracy, do walki z sobą, do walki ze swoją gwałtownością, ze swojem łakomstwem, słowem z tym odwiecznym nieprzyjacielem duszy ludzkiej, którym jest ludzka natura.

Przeszedłszy lat dziesięć, zapragnąłem zyskać dla tych marzeń praktyczne środki. Może być, że ciągła walka z sobą w imię miłości ojczyzny, nie pozwalała wybujać marzeniom w niezdrową egzaltacyą, lecz kierowała je zawsze na drogę logicznych dążeń. To też widząc młodych Dobrzańskich, moich krewnych, odbywających akademią wojskową, powziąłem myśl prosze-

nia ojca, żeby mię oddał także do szkoły wojskowej. Mój ojciec stanowczo się sprzeciwił mówiąc, że »Polakowi nie wypada służyć w wojsku austryackiem.«

Było to pierwsze wielkie, prawdziwe nieszczęście, które spadło na moją głowę. Nie mogłem wytłómaczyć sobie tego zakazu i napróżno łamałem sobie głowę nad pytaniem, kto właściwie ma być tym wodzem, który kiedyś ma wywalczyć niepodległość Polski, jeżeli nie wolno się oddać zawodowi wojskowemu chłopcu, który nie z fantazyi dziecinnej, ale dla poważnej pracy i w poważnych zamiarach chce sobie obrać ten zawód? Mój brat tymczasem zaczytywał się Lelewelem i przejął się — naturalnie, że tylko w teoryi — rewolucyjną frazeologią tego czciciela wielkiej francuzkiej rewolucyi. Pamiętam, częste z tego powodu między nami sprzeczki, nie pozbawione zresztą nieraz ze strony mojego brata chęci drażnienia mnie, wiedząc, że się gwałtownie unoszę. W gruncie zgadzaliśmy się najzupełniej i jedną wyznawaliśmy zasadę, że obowiązkiem syna Piotra Moszyńskiego jest chwytać za broń, jak tylko zabrzmi hasło do walki narodowej.

Pamiętam nawet, że w czasie 1859-go roku, mojemu bratu, który był odemnie starszym o półtrzecia roku, chodziło już po głowie, czyby nie wstąpić do armii francuskiej. Tymczasem jednak wojna się ukończyła i zamiary się rozwiały.

Tak doczekaliśmy się czasów demonstracyi 1860—1862 r. w których jako studenci braliśmy czynny udział.

Nie będę tu opisywał w jaki sposób agenci spiskowi nęcili i zaprawiali nas studentów gimnazyalnych już od r. 1860 do ulegania swoim rozkazom. Ale to pewne, że kto niebył w kościele panny Maryi, gdy w rocznicę listopadowego powstania po raz pierwszy zabrzmiał

hymn »z dymem pożarów,« kto nie słyszał, jak ponura fala głosu od stopni wielkiego ołtarza, rozpływała się poważnie po kilkutysięcznym tłumie przepełniającym kościół, uniesionym dźwiękami patryotycznego hymnu, który pierwszy raz odbijał się o ściany kościoła Najświętszej Panny, ten z pewnością nie zrozumie, co za olbrzymi wpływ na serca i umysły zyskiwała tym szatańskim pomysłem partya przewrotu. Pamiętam jak dziś, osiwiałego żołnierza wojsk polskich, pułkownika Gawrońskiego, wspartego o ołtarz boczny, któremu łzy potokiem z oczów płynęły. A cóż się dopiero działo w sercach młodych i świeżych, dla których każdy ton pieśni był pobudką wojenną, głoszącą blizki kres wyczekiwania, zwiastującą tą blizką chwilę, w której otworzą się dla nich na oścież wrota poświęcenia i sławy.

W roku 1862-gim, podczas wakacyi, któreśmy spędzali na Pobereżu u naszej siostry, Ukraina wrzała od świt chłopomanów, organizacya spisku nie była już dla nikogo tajemnicą. Wtedy po raz pierwszy, zdaje mi się z powodu chłopskiego ubioru, który przywdział mój brat, ojciec zawołał nas do siebie i przestrzegł, żebyśmy się bez jego wiedzy do żadnych spisków nie zaciągali.

Wróciliśmy do Krakowa, gdzieśmy byli z bratem sami, zanim ojciec w późnej jesieni do Krakowa nie powrócił. Mój brat miał lat 18 i wszedł na pierwszy rok prawa, ja lat 15 i wszedłem do szóstej klasy gimnazyalnej.

Pamiętam pod koniec października, był to dzień smętny, dżdżysty i ponury, przyszedłem do pokoju mojego brata, w którymeśmy dotąd prawie całe życie razem pędzili. Brat mój zażądawszy odemnie słowa, że nie zdradzę przed nikim tajemnicy, oświadczył mi, że

zaciągnął się do wojska narodowego, że lada chwila ma być powstanie. Co wtedy za radość, za zachwyt porwał nas obydwóch, zdawało się, że promienie nadziei i zapału przebiły ponurą oponę chmur ołowianych i zaświeciły sercom naszym życiem i szczęściem. Zaczęliśmy śpiewać »Jeszcze Polska nie zginęła,« »marsz Dwernickiego,« »Bartoszu« słowem co na myśl tylko nam przyszło. Żądałem od mojego brata, żeby mię zaraz zaciągnął. Odpowiedział: »Daję ci słowo honoru, że jak będziemy mieli wychodzić w pole, to ci powiem o tem zawczasu i nie będę ci przeszkadzał iść do powstania, ale pod warunkiem, że ty mi dasz słowo, że nie będziesz się zaciągał lub składał przysięgi, bez której przecież bić się i tak możesz.« Dałem mu słowo. Ale odtąd uważałem się już za powstańca. Prawie wszyscy rówieśnicy nasi, z którymiśmy od kolebki czuli, planowali i żyli nadzieją, zaciągnęli się do spisku. Jan Tomkowicz, Straszewski Kaźmierz, następnie nowi koledzy mojego brata jak Borejsza, spiskowi jak Rochebrun, i inni, od których się odtąd roiło u mojego brata, byli mi wybornie znani i wszyscy mię uważali za swojego kolegę przyszłych zapasów z nieprzyjacielem. Oddawałem się szczerze tym marzeniom, z najsilniejszem postanowieniem, by zginąć lub zwyciężyć wraz z nimi. Wiedziałem, że dziesiętnikiem mojego brata był kolega jego Brańka, którego od czasu wyjścia jego do Ojcowa nie widziałem więcej i nie wiem czy był w Miechowie i tam zginął, czy też się ulotnił, lub oddał się na usługi służbie cywilnej, jak to zrobił tysiącznik mojego brata, pan Alfred Szczepański.

Alfred Szczepański był głównym agitatorem między młodzieżą uniwersytecką od samego 1859 roku. Prawdziwy to był typ agenta Mierosławskiego, wykro-

jonego dokładnie podług formy swojego pierwowzoru. Miłość ojczyzny płynęła gorącym i wymownym potokiem słów z zimnego i ambitnego serca i rozpryskała się w bombach zawiści do nieprzyjaciół i w żądzy pomsty, w żądzy walki na życie i śmierć, walki z bronią lub na pięści, ale walki nieubłaganej, walki natychmiastowej, jeżeli być może.

Męczennik sprawy narodowej ścigany bezustannie przez wrogą policyą, ostentacyjnie wywijał się przed jej prześladowaniem. Szczepański był na ustach całej młodzieży w nieszczęsnych tych dwóch latach. Szczepański powiedział dziś to, jutro znów owo, Szczepański dzisiaj z brodą, jutro bez brody, dziś w konfederatce i orłem na brzuchu, jutro w surducie, bo ścigany przez policyą, dziś w Krakowie, jutro wyjeżdża do Węgier, to znowu wraca. Nie dziwota, że wielki ten patryota był słońcem, na które zwracały się oczy całej młodzieży krakowskiej, że został następnie naczelnikiem Ławy Krakowskiej, bo był to patryota niezwykły, patryota przejęty takim świętym ogniem nienawiści do »Moskwy,« takim świętym, nieprzezwyciężonym wstrętem do niej zapalony, że przez całe półtora roku powstania, nie skaził się przekroczeniem »moskiewskiej« granicy. Był to człowiek przejęty taką ofiarnością dla ojczyzny, że nigdy chwili nie zawahał się przed poświęceniem na jej ołtarzu ofiary krwi i życia najszlachetniejszych jej synów.

Mojemu bratu proponowano godność setnika. Odrzucił, utrzymując, że nie mając o wojskowości wyobrażenia, może poświęcać siebie, ale nie może brać odpowiedzialności za prowadzenie w bój drugich.

Widocznie, tylko dla podniesienia ducha rozchodziły się z ogniska organizacyi wiadomości o niesły-

chanej jej potędze, o rewolwerach, karabinach a nawet armatach, które komitet centralny sprowadził tajemnie do Królestwa Polskiego, a szczególniej do Warszawy.

Dnia 22 stycznia 1863 roku wybuchło powstanie. W kilka dni potem, mogło to być około 29 stycznia we czwartek — a z kombinacyi rozmaitych okoliczności mogę wnosić, że na pewno w ten dzień — przychodzi do mnie mój brat cały rozpromieniony i mówi: »wiesz przyszedł rozkaz! Za trzy dni wychodzimy do Ojcowa.« Ojca mojego nie było w domu. Powróciwszy z dwiema starszemi siostrami z Ukrainy w późnej jesieni lub na początku zimy, zachorował na ucho i pojechał właśnie w styczniu na kuracyą do Berlina, nieprzypuszczając, żeby potem co nam powiedział podczas wakacyi, mógł który z nas zaciągnąć się bez jego wiedzy do powstania.

O ile sobie przypominam, wymarsz naznaczonym był na sobotę 31 stycznia. Z pewnością były to dla mnie najpiękniejsze dni w życiu, dni zapału i złudzeń, po za któremi miała się otworzyć przepaść czarnej i twardej przyszłości.

Wprawdzie żądał od nas ojciec, żebyśmy się nie zaciągali do spisku, ale przecież to nie przyszło nikomu z nas na myśl, ani mojemu bratu, ani żadnej z naszych sióstr, ani mnie, żeby Piotr Moszyński mógł się temu sprzeciwić, mógł tego nie pochwalić, że synowie jego, krew z krwi i kość z kości jego, pójdą w bój za ojczyznę, w chwili gdy bój ten przygotowanym jest przez potężny rząd narodowy, który od trzech lat powstanie organizował, potężnemi demonstracyami dawał dowód swojej siły, którą imponował nawet wrogom. A teraz gdy kraj cały przygotowany i uzbrojony, byłżeby godzien którykolwiek z synów Piotra Moszyńskiego nosić to nazwisko, gdyby

między pierwszymi nie szedł w bój za nieprzedawnione prawa ojczyzny?

To też nie zastanawiając się nad tem, oddaliśmy się z duszą i sercem radości i przygotowaniom do pojutrzejszej wyprawy, marząc jak na czele polskich hufców będziemy wkraczali w mury Kremlina.

Siostry zasiliły nas drobnemi swojemi funduszami, szyły dla nas czerwono-białe kokardy, płakały z rozczulenia, że wybiła wreszcie chwila od kolebki upragniona, od kolebki oczekiwana. My zebrawszy te fundusze polecieliśmy do składu broni Höffelmeiera. Ja miałem być w kawaleryi, kupiłem więc rewolwer — bo nowożytny pałasz angielski kawaleryjski, znalazł się w zbrojowni mojego ojca — mój brat Emanuel, który miał służyć w piechocie pod Rochebrun'em, kupił jakąś pojedyńczynę, ot taką, jaką się odbiera czasem od kłusowników, a do niej ruśnikarz zobowiązał się na jutro dorobić bagnet.

Na drugi dzień popołudniu, a więc w wilią zamierzonego wyjścia do Ojcowa, zdaje się, że 30 stycznia, przyszedł do nas Eustachy Sanguszko, starszy od mojego brata o półtora roku, z którymeśmy od czasu dzieciństwa nie jedno popołudnie w niedzielę razem spędzali. Był to pierwszy strumień zimnej wody, wylanej na nasze rozpalone głowy i serca;.... zimnej wody płynącej z gorącej duszy. Zaklinał nas, żebyśmy siebie i kraju nie gubili, że sobie zgotujemy niechybną a bezużyteczną śmierć, a na ojczyznę największe sprowadzimy nieszczęścia. Mówił, że wczoraj do północy rozmawiał o tem ze swoim stryjem Księciem Romanem, który przerażony całym ogromem nieszczęścia i zguby kraju, tkwiącej w tem szalonem przedsięwzięciu, przysłał go do nas, by nas powstrzymał, powołując się na wielo-

letnią przyjaźń z moim ojcem, zawiązaną na wygnaniu, na swój patryotyzm, którego dał tyle niezbitych dowodów. Niestety żaden głos rozsądku nie mógł do nas trafić. W naszym umyśle tkwiła niezwalczona wiara w potęgę organizacyi, w ducha poświęcenia pana Alfreda Szczepańskiego, do którego nie dorośli widać dawniejsi ludzie. W naszem sercu gorzała już pełnym ogniem żądza walki i sławy, żądza śmierci.

Tymczasem zupełnie niespodziewanie rano, w sam dzień wymarszu, a więc 31 stycznia, oznajmił mi mój brat, że przyszło od Rządu Narodowego wstrzymanie wymarszu do dalszego rozkazu, że więc jedzie do Berlina dla przyznania się ojcu, że mamy wyjść do powstania.

XIII.

Ani na chwilę nie można przypuścić, żeby wstrzymanie wymarszu było wynikiem rozkazu Rządu Narodowego. Przecież oddział powstańczy w okolicach Olkusza i Ojcowa zawiązał się był już zaraz po wybuchu powstania; w każdym razie już pod datą 28 stycznia wspomina o nim korespondencya warszawska do Nru 27 »Czasu« (z dnia 4 lutego 1863 r.) i cytuje następujący wyjątek z urzędowego raportu:

> »Osoby z bandy formującej się w Olkuskiem usiłowały namówić robotników w kopalni Ksawery i w hucie cynkowej pod Będzinem, aby opuścili robotę i udali się na punkt zborny«...

Również w Nrze 28 »Czasu« z 5-go lutego 1863 znajdujemy wiadomość, że

> »z pobliższych nas powiatów dawnego województwa Krakowskiego donoszą, iż konny oddział powstańców roz-

broił dziś w południe konną straż graniczną, skupioną na komorze Szyce. Inne wiadomości potrzebujące jeszcze potwierdzenia mówią, że to samo się stało na komorze w Maczkach«...

Nie ulega więc najmniejszej wątpliwości, że oddział Ojcowski zaczął się już formować od samego początku powstania, a co najpóźniej w parę dni po 22-gim i dlatego nie możnaby sobie wyobrazić żadnego powodu, dla któregoby Rząd Narodowy warszawski miał wstrzymywać rozkaz wymarszu krakowskich ochotników i opóźniać przez to zasilenie ludźmi i bronią Ojcowskiego oddziału, a to tembardziej, że wyczekiwanie na lepsze uzbrojenie lub lepszą organizacyą oddziału, nie miało tu miejsca. Wiadomo bowiem, że w dniu 6-ym lutego, tak samo wyszła ta młodzież prawie bezbronna, jak byłaby to uczyniła tydzień przedtem. Jedno więc tylko można przypuścić, że wstrzymanie wymarszu odbyło się chyba przez wpływ tych »przerażonych,« poważnych ludzi, nad których bezradnością ubolewa pan Koźmian; a którzy z pewnością nie myśleli wówczas o niczem innem, jak o zmniejszeniu o ile się da rozmiarów nieszczęścia.

Chwila, o której mówimy, była bezwątpienia najważniejszą dla przyszłych losów powstania i przyszłości narodowej.

Wyjaśnienie stanowcze kwestyi, kto i dla czego powstrzymał wymarsz krakowskiej młodzieży do Ojcowa, kto wpłynął następnie na cofnięcie tego wstrzymania, jest niezawodnie kluczem do rozwiązania pytania, czy poważni ludzie parli naród do powstania swoją bezradnością i obawą o popularność; czy też przeciwnie robili wszystko co mogli, by odwrócić nieszczęście w chwili, gdy zjawili się p. Stanisław Koźmian i pan

Ludwik Wodzicki i wepchnęli powstanie, a z nim naród na najzgubniejszą drogę demonstracyi zbrojnej, w celu zmuszenia Europy do interwencyi. Otóż do rozjaśnienia tej kwestyi mogą dopomódz bardzo moje osobiste współczesne wspomnienia co do akcyi lwowskich konserwatystów, dowodzą bowiem najdokładniej, że ci ludzie nietylko nie schlebiali ówczesnemu ruchowi, nietylko, że nie przedsiębrali w pierwszej chwili żadnych kroków dla wywołania europejskiej interwencyi, ale przeciwnie, użyli wszelkich możliwych środków, aby to niechybne nieszczęście na razie zażegnać.

Na stronnicy 19 I tomu »znakomitego,« »wiekopomnego« dzieła pana Stanisława Koźmiana pod tytułem »*Rzecz o roku* 1863-cim« czytamy, co następuje:

> »Wypadki szły spiesznie, a przecież dnie ciągnęły się smętne i przykre dla wszystkich.«
>
> »W mojem przekonaniu rzecz była przesądzoną. Przecież moi przyjaciele uznali jeszcze za potrzebne znieść się ze *stronnictwem umiarkowanem* w Warszawie z tak zwanemi *białemi*. Od nich bowiem winno było wyjść pierwsze stanowcze słowo. *Wysłaliśmy do Warszawy Włodzimierza Cieleckiego.* Przywiózł nam niesłychaną, najdziwniejszą, jedyną w dziejach odpowiedź, która określa przecież nieszczęsne stanowisko, zajęte wśród wypadków przez *białych*, odzwierciadlała ich usposobienie, zaznaczała upadek i potępiała ich. Odpowiedź brzmiała: »Nie łączyć się z powstaniem, ale uznać je za narodowe.«

Tak wygląda prawda historyczna w rękach »znakomitego historyka, któremu »Tagblatt« każe stawiać pomniki.

Proszę teraz posłuchać, jak wyglądała rzecz w naturze:

Nazajutrz po wyjściu mojego brata do obozu t. j. dnia 7 wieczorem powrócił Włodzimierz Cielecki z War-

szawy do Krakowa. Spóźnił się, gdyż prosta komunikacya pomiędzy Warszawą i Maczkami była przerwaną, musiał więc objeżdżać na Sosnowce. Tymczasem jak to zresztą potwierdza Nr 32 »Czasu« (z 10 lutego 1863 r.) właśnie kiedy przez nie przejeżdżał,

> »na Sosnowce uderzył oddział powstańców w nocy z 6-go na 7-go b. m. Straż graniczna w ilości przeszło 100 żołnierzy i Kozacy przygotowani na atak zabarykadowali się w domu komory celnej i z okien strzelali, lecz powstańcy wyparli ich z tego domu i rozbili.«

Włodzimierz Cielecki będąc wówczas narzeczonym mojej siostry, zaraz wieczorem prawie wprost z kolei przyszedł do nas. Opowiadał on nam wtedy cały atak powstańców, aż do skończenia którego przesiedział wśród walki i dlatego spóźnił się o dzień z powrotem. Było to w dzień po wyjściu mojego brata. Oczywiście, że chwytałem chciwie każdą wiadomość, mającą związek z powstaniem. Wtedy to opowiadał mi, zdaje mi się na drugi dzień, Włodzimierz Cielecki, że jeździł do Warszawy wyprawiony ze Lwowa, przez grono ludzi poważnych (których nazwiska mi mówił, ale ich na pewno nie pamiętam, więc wolę ich nie podawać) z poleceniem do *Komitetu Centralnego*, które mi w ten sposób przedstawił:

»Ponieważ powstanie wybuchło przedwcześnie, i nie ma żadnego uzbrojenia, przeto grono tych panów weszło w porozumienie z ówczesnym namiestnikiem i jenerałem komenderującym we Lwowie Mensdorff'em-Pouilly i otrzymało od niego obietnicę, że będzie patrzał przez palce na rozlokowanie po wsiach w Galicyi zarówno proskrybowanych, jak powstańców. Na podstawie tego, Włodzimierz Cielecki miał polecenie proponować

Warszawskiemu Komitetowi Centralnemu zaniechanie powstania i skierowanie istniejących już oddziałów powstańczych ku Galicyi, żeby tam się mogły schronić, oraz wyprawienie obywatelską pocztą do Galicyi podejrzanych t. j. członków organizacyi spiskowej. Tu zamierzano przetrzymać tą przyszłą armią polską do wiosny, a nawet choćby parę lat, a dopiero uzbroiwszy ją dobrze i przygotowawszy kraj do »*powstania na czasie*,« miano wystąpić do walki o polską niepodległość, w razie jakiej zawieruchy europejskiej.«

Czy Włodzimierz Cielecki miał jakie polecenia także do »*Białych*« warszawskich, tego nie wiem, ale przypuszczam, że musiał je mieć, co zresztą potwierdza jak zobaczymy później ogłoszenie powstania za narodowe, w »Czasie« z dnia 13 lutego 1863 roku. Ale to wiem wybornie, że głównym celem jego podróży do Warszawy było powyższe polecenie do »*Komitetu Centralnego*.« Relacyą moją potwierdza akt spisany przez grono ludzi, »*chcących zająć na wzór komitetu krakowskiego dla rannych wyczekujące stanowisko*« (I, 62).

»Wystąpienie czynne z naszej strony — czytamy w tym manifeście — w pierwszej zaraz chwili i rzucenie *na oślep* naszej młodzieży *źle lub wcale nieuzbrojonej*, tam gdzie brak większy broni jak ludzi, gdzie organizacyi brak zupełny, w niczem nie mogłoby tak wielkich przynieść korzyści ruchowi, a ogałacając prowincyą naszą z tej młodzieży i podając ją na rzeź i zgubę pewną, bez żadnej, a w każdym razie wielce wątpliwej korzyści dla sprawy, byłoby zmarnowaniem najcenniejszych sił narodowych, byłoby lekkomyślnością, jeżeli nie zbrodnią wobec sprawy«... ...»Powtarzamy więc, że ruch dzisiejszy w Kongresówce jeszcze powstaniem ogólnem nie jest«... ...»Galicya tylko wtenczas może i powinna siłami swemi do ruchu w Kongresówce przystąpić »jeżeli ruch ten *dzisiaj* nie wiele jeszcze znaczący, stanie się

tam ogólnym, to jest: jeżeli połączą się w nim wszystkie klasy ludności, a szczególniej, jeżeli ogół włościan obojętnym przynajmniej będzie, a częściowo z ruchem się połączy; albo jeżeli okoliczności zewnętrzne choć w części się zmienią, a głównie, jeżeli w Rosyi przyjdzie do ważniejszych zaburzeń«... »jeżeli na wiosnę wybuchnie wojna na Wschodzie«...

»*Czekać, a równocześnie rozpocząć niezwłocznie i z całą energią przygotowania, które w razie potrzeby łączenia się z ruchem w Kongresówce, umożebnią nam silne i skuteczne poparcie tego ruchu!*« (I, 13—15).

Przyzna każdy, że misya dana Włodzimierzowi Cieleckiemu jest najzupełniej zgodną z treścią manifestu, a zobaczymy, że także z datą manifestu, który datowany jest we Lwowie 4-go lutego. Zważywszy jednak, że Cielecki 7-go lutego był już z powrotem w Krakowie, a wyjechał z Warszawy już 6-go, bo jak wiemy, był tylko zatrzymanym w drodze utarczką Sosnowiecką, przypuściwszy więc, że w Warszawie bawił tylko jeden dzień t. j. przez 5-ty, to przecież musiał ze Lwowa wyjechać najpóźniej 4-go, rano t. j. w dniu wydania manifestu. Przypuszczać jednak można, że mógł wyjechać i przed tem, a w każdym razie musiał być we Lwowie na parę dni przed swoim wyjazdem, by brać udział w naradach o sprawie, z którą go miano wysłać. Nie mogę więc zupełnie pojąć, gdzie się znajdzie czas na misyą daną Włodzimierzowi Cieleckiemu przez pana Koźmiana do *Białych*, gdy ten dopiero 3 lutego do Krakowa przyjechał?

Przyznam się, że skutek tej misyi nie zupełnie ostro zarysował się w mojej pamięci, mam jednak mgliste wspomnienie, że mówił mi wówczas mój przyszły szwagier, że komitet centralny wahał się, ale w końcu oświadczył, że rzeczy zaszły już za daleko i dlatego teraz już przerwanie powstania jest niemo-

żliwem. Również to pamiętam wybornie, że opowiadał mi szczegóły swojego zetknięcia się z członkami komitetu centralnego, choć dziś już nie pamiętam nazwisk, które mi wówczas podawał, a uzupełnianie tego sprawozdania nazwiskami wyciągniętemi z innych źródeł zupełnie by tu było bezcelowem.

Cała ta sprawa zaczyna rzucać trochę jaśniejszy promień światła na przyczynę powstrzymania wydanego już przez »*Ławę*« rozkazu do wymarszu oddziału krakowskiego. Wynika z tego przedewszystkiem, że pan Koźmian i przyjaciele nie mogli wyprawić Włodzimierza Cieleckiego do Warszawy, bo jeżeli wyjechał ze Lwowa przed 4-tym lutego, to jeszcze tych mężów stanu nie było w Krakowie; jeżeli zaś wyjechał czwartego rano, to dniem i nocą jadąc mógł zaledwie na 5-go lutego do Warszawy zdążyć, nie miał więc czasu zatrzymywać się w Krakowie ani kilku godzin. Gdyby więc miał mieć jakie uboczne polecenia od pana Koźmiana, to chyba zawiadomił tegoż telegraficznie o swoim przejeździe i widział się z nim na dworcu kolejowym w Krakowie. Rzecz tą jednak uważam za zupełnie nieprawdopodobną, bo byłby mi niezawodnie mój szwagier o tem wspomniał, to zaś jest w każdym razie najzupełniej pewnem, że wyprawionym on był nie przez pana Koźmiana z Krakowa, lecz przez grono poważnych ludzi ze Lwowa.

Otóż prawdopodobnie musiał Cielecki wyprawionym być ze Lwowa nie w dzień daty manifestu, ale wcześniej. Manifest bowiem mógł być już wcześniej w zasadzie postanowionym, a dopiero po wyprawieniu Cieleckiego w parę lub kilka dni później zredagowanym.

Za tem przemawiałyby następujące okoliczności: Najprzód trudno przypuścić, żeby Cielecki, mając tak

ważne polecenia, do których spełnienia musiał wyszukiwać członków komitetu centralnego, kryjących się z pewnością dobrze, mógłby w ciągu jednego dnia wywiązać się ze swojej misyi, a cóż dopiero skoro prawdopodobnie musiał mieć także polecenia do »Białych.« Następnie niepodobna, by wobec tak ważnego postanowienia nie chciano się przez Cieleckiego porozumieć z poważnymi ludźmi w Krakowie. Z tego wszystkiego wnoszę, że Cielecki mógł przez Kraków przejeżdżać nie czwartego wieczór, ale może ze cztery lub pięć dni pierwej, t. j. w ostatnich dniach stycznia, i tu się zatrzymał dla zakomunikowania tutejszym panom planu lwowskiego komitetu, oraz dla powstrzymania wymarszu krakowskiego oddziału aż do przywiezienia decyzyi warszawskiego komitetu centralnego. — Przypuszczenie to robi dopiero wstrzymanie rozkazu do wymarszu zupełnie zrozumiałem.

Że Cielecki musiał być w Krakowie przed wyjazdem do Warszawy, dowodzi tego opowiadanie jego o zetknięciu się z panem Alfredem Szczepańskim, u którego zastał wielkie zebranie młodzieży akademickiej, a zebranie to oczywiście nie mogłoby już mieć miejsca po wyjściu oddziału krakowskiego do Ojcowa, t. j. po 6 lutego. Pamiętam wybornie wrażenie, jakie na Cieleckim zrobiła wówczas ognista, patryotyczna mowa, wygłoszona przez naczelnika Ławy *do obecnych akademików*. »A to dopiero zagorzała głowa ten Szczepański — rzekł do mnie mój przyszły szwagier — jak się go słyszy, to nie można wątpić, że on z gołemi rękami rzuci się na rosyjskie armaty.«

Pod koniec czy też po ukończeniu powstania dodał w rozmowie ze mną resztę charakterystyki naczelnika Ławy krakowskiej: »Wiesz, że ten Szczepański

to ciekawy ptaszek, tak chciał Moskalom skakać pazurami do oczów, wyprawiał do powstania wszystkich, a sam ani nie powąchał prochu.«

Ze wszystkiego tego wynika, że Włodzimierz Cielecki musiał być w Krakowie jadąc do Warszawy i prawdopodobnie był tamże w ostatnich dniach stycznia, i że on wymógł na panu Szczepańskim z polecenia lwowskiego komitetu wstrzymanie pierwszego rozkazu danego do wymarszu, aż do rozstrzygnięcia kwestyi, czy komitet centralny przyjmie propozycye przesłane przez Cieleckiego lub nie. To jedno tłumaczy w racyonalny sposób powstrzymanie nakazanego wymarszu. Pozostaje teraz tylko do rozwiązania zagadka, dlaczego wydano rozkaz do wymarszu na 6-ty lutego, a więc na dzień przedtem niż Cielecki z odpowiedzią komitetu centralnego przybył do Krakowa? Widocznie, że nie przywieziona przez niego z Warszawy decyzya wpłynęła na tą zmianę, bo w dzień przed jego przyjazdem już wyprawiono spiskowych krakowskich do Ojcowa, a przecież rozkaz musieli oni dostać przynajmniej na dzień lub na parę dni przedtem. Wobec tych wątpliwości nie można zapominać, że do Krakowa przyjechał pan Ludwik Wodzicki drugiego, a pan Stanisław Koźmian trzeciego lutego z mądrem postanowieniem ratowania zagrożonej sprawy ojczystej.

»Nikt nie dawał« — pisze on — »nadziei najmniejszej, skutecznego, a nawet jakiegokolwiek z zewnątrz poparcia.«

»Uczułem potrzebę zbliżenia się z temi pierwszemi wiadomościami i wskazówkami, do widowni wypadków i do przyjaciół. Pospieszyłem do Krakowa 3-go lutego; zastałem tam przybyłego w wilię Ludwika Wodzickiego. Zażądałem przed wyjazdem ze wsi, szczegółowych i ciągłych z Paryża doniesień.«

»Ze spiskiem« ... »nie miałem żadnych stósunków«...

»Istotnie ograniczaliśmy się wówczas na współdziałaniu w Galicyi, w szczupłym zakresie, w pracy publicznej jawnej i w polityce określonej adresem z 4-go stycznia 1861 r. do ministra stanu Schmerlinga.«

»Pozostawaliśmy jednocześnie w bliższych stosunkach z *Hotelem Lambert*« (I, 7).

»Przybywszy do Krakowa, zastaliśmy odnogę spisku warszawskiego pod nazwą *Ławy*, oraz cały zastęp ludzi rozsądnych, statecznych, patryotów, słowem, tak zwanych konserwatystów: przerażony, bezradny czujący całą grozę położenia, niebezpieczeństwo powstania, lecz jak zawsze w Polsce, obawiający się narazić śmielszemu od niego stronnictwu ruchu i niechcący uchodzić za mniej od niego patryotyczny«... (I, 8).

»Do tych ludzi« — mówi autor — »zbliżyliśmy się Wodzicki i ja, i u nich i dla nich, pragnęliśmy szukać sposobów, wyjścia i zachowania się wobec opłakanych wypadków»...

»W »Czasie« szukała wskazówek część społeczeństwa rozsądniejsza i politycznie od innych wytrawniejsza«... (I, 8).

»Dla mnie pozostawało pewnikiem, że albo wojna europejska rozwiąże sprawę polską, albo powstanie zabije ją.« (I, 9).

Z tego co wyżej powiedziano, widocznem jest, że aż do przyjazdu pana Koźmiana do Krakowa, partya konserwatywna była przerażona, bezradna, obawiająca się narazić swojej popularności otwartem wystąpieniem przeciw ruchowi i dlatego zachowująca się wobec ruchu zupełnie bezczynnie, podczas, gdy *Ława* miała sobie zostawione zupełnie wolne pole. Już wyżej widzieliśmy przykład, że poważni ludzie nie tak zupełnie byli bezczynnymi, ale przeciw zapalonym szaleńcom, podniecanym przez szalbierzy, nie łatwy sposób działania, jeżeli się nie ma w ręku politycznej władzy, a rząd

austryacki pozwalał funkcyonować w biały dzień biuru asenterunkowemu »pod Rakiem,« na Szpitalnej ulicy.

Niezawodnie, ludzie poważni widząc niechybne nieszczęście kraju, robili co mogli, żeby jego rozmiary zmniejszyć, i dopóki jakiekolwiek autentyczne dowody tego nie zbiją, można śmiało przypuszczać, że wskutek ich zabiegów i starań spowodowanych decyzyą lwowskiego komitetu, wstrzymał naczelnik »Ławy« pierwotny rozkaz do wymarszu. Widocznem jest ze słów Szanownego Autora, że poważni ci ludzie, nie mieli do chwili przybycia tegoż, systematycznie uorganizowanego porozumiewania się z Hotelem Lambert, nie byli z sobą związani jakąś wspólną zorganizowaną akcyą, skoro dopiero ci dwaj panowie *»postanowili zażądać brakującego im dotąd stanowczego i ostatecznego słowa Hotelu Lambert,«* a *»na razie usiłowali oszczędzać ofiar niepotrzebnych.«*.

Rzecz prosta, jeżeli dwóch młodych ludzi postanawia znieść się z Hotelem Lambert, a tymczasem *usiłować oszczędzać ofiar*, to widocznie, że przychodzą oni z gotowym planem akcyi, której ci bezradni starsi panowie nie mieli i o niej nie myśleli, i myśleć nie mogli, skoro *»nikt nie dawał nadziei najmniejszej, skutecznego, a nawet jakiegokolwiek z zewnątrz poparcia«* (I, 7).

To też pan Koźmian przyznaje się do tego, że wraz z panem Ludwikiem Wodzickim *»pragnęli szukać sposobów wyjścia u nich i dla nich,«* to jest dla tej bezradnej starszyzny, co znaczy na polskie, że zapragnęli wziąść tą starszyznę za łeb i wciągnąć ją w akcyą uorganizowaną, której celem było wywołanie zbrojnej interwencyi. Wyczekując więc na to stanowcze słowo Hotelu Lambert, na razie zajęli się więcej systematy-

cznie jak przedtem ci starsi panowie, staraniami w celu oszczędzania ofiar niepotrzebnych. Ma się rozumieć, że chcąc dojść do tego celu, musieli wejść koniecznie w bliższe stósunki z »*Ławą*« krakowską, bo zarówno do wpływania na oszczędzanie ofiar, jak tembardziej do nadawania powstaniu szerszych rozmiarów, na wypadek, gdyby taka instrukcya nadeszła z *Hotelu Lambert*, bez stósunków tych, w żaden żywy sposób obejść się nie mogli. To też zadziwiającą jest rzeczą, że podczas, gdy pan Koźmian opisuje nam w bardzo szczegółowy sposób swoje znoszenie się z księciem Władysławem Czartoryskim, stósunki jego z »Ławą« zawierają się w tem lakonicznem zdaniu: »*Przybywszy do Krakowa, zastaliśmy odnogę spisku warszawskiego pod nazwą Ławy* (I, 7)*;* przyczem Szanowny Autor wymija tu nawet wymienienie nazwiska naczelnika tejże.

Wiadomem jest, że naczelnikiem tym był właśnie pan Alfred Szczepański, tenże sam zagorzały patryota polski, jakeśmy to już widzieli, porwany zupełnie takim samym jak pan Koźmian patryotycznym wstrętem do Moskali, wstrętem, który był niezawodnie duchowym łącznikiem tych dwóch przeciwległych biegunów czystego i gorącego uczucia narodowego.

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że stósunki pomiędzy panem Stanisławem Koźmianem i jego przyjacielem panem Ludwikiem Wodzickim, a naczelnikiem *Ławy* musiały być bardzo blizkie, że tenże ostatni musiał tym panom oddać poważne usługi, skoro po skończeniu powstania poczuli się oni do obowiązku otoczenia najczulszą opieką tego naczelnika odłamu — wstrętnego tym panom — spisku warszawskiego, a to opieką tak skuteczną, że gdy pan Ludwik Wodzicki zaawansował z marszałkowstwa sejmu krajowego, na dyrek-

tora banku dla krajów koronnych, to nie zapomniał także o przyzwoitej tamże posadzie dla pana Alfreda Szczepańskiego.

Tak więc, skonstatowawszy łączność duchową, zachodzącą pomiędzy panem Koźmianem i spółką a naczelnikiem »Ławy,« wpadamy na trop do wyszukania powodu wydania ostatecznego rozkazu do wymarszu oddziału krakowskiego w parę dni po przyjeździe tych panów do Krakowa.

XIV.

Powróćmy teraz do rozpoczętego opisu historyi wyjścia mojego brata do powstania, którą obrałem sobie za pochodnię do rozświecenia prawdy.

Za kilka dni wrócił mój ojciec z moim bratem do Krakowa. — Na twarzy jego malowała się najgłębsza boleść. Zawezwał do siebie nas obydwóch i odezwał się mniej więcej w następujące słowa: »Prosiłem was byście bez mojej wiedzy nie zaciągali się do żadnego sprzysiężenia. Myślałem, że moja przeszłość powinna wam była dać dostateczną rekojmią mojego przywiązania do kraju i poświęcenia dla ojczyzny. Zawiodłem się. Emania, który złożył przysięgę, nie mogę już teraz wstrzymywać, bo honor jego jest już zaangażowanym, ale nie daję mu mojego błogosławieństwa na tą wyprawę; tobie zaś, skoro jeszcze jesteś nie związany przysięgą, zakazuję pod błogosławieństwem wyruszenia do obozu, a daję ci najświętsze słowo honoru, że gdyby kiedykolwiek najmniejsza szansa zbrojnej walki otworzyła się dla naszej sprawy, gdyby się odsłoniła chociażby jedna szansa na sto, to nie tylko nie będę cię wstrzymywał, ale sam cię wyprawię i sam pójdę do obozu,

by wedle sił moich, chociażby jako tłómacz rosyjskich raportów, służyć przy głównej kwaterze czynnej armii polskiej.

Tak Panie Koźmianie, w ten sposób działali ci bezradni, przerażeni rozsądni patryoci, których ty przyszedłeś z panem Ludwikiem Wodzickim uczyć obowiązków względem kraju i ojczyzny. I jeżeli mi powiesz, że nie takie zdanie usłyszałeś od bawiącego wtedy w Krakowie, Księcia Romana Sanguszki i od Księcia Władysława Sanguszki, że nie to zdanie usłyszałeś wtedy od pana Adama Potockiego, od Księcia Jerzego Lubomirskiego, od pana Henryka Wodzickiego, od pana Pawła Popiela, to ja ci powiem w oczy, że mijasz się z prawdą.

Nie obdarzaj patentem wynalazku twoich intryg i machinacyi tych ludzi serca, prawdy i poświęcenia.

Takie było w Krakowie usposobienie ludzi poważnych w chwili, gdy zjawił się między nimi pan Stanisław Koźmian i zaczął im tłómaczyć, że sprawa nie stracona, że trzeba z tego wielkiego złego wyciągnąć coś dobrego, że trzeba się znieść z Hotelem Lambert, żeby znowu nie narazić na szwank sprawy narodowej, żeby nie zmarnować już tyle dotąd bezcelowo wylanej krwi i t. d. Wiedział on, że firma Hotelu Lambert zanadto u tych ludzi od roku 1830 doznawała szacunku i powagi, żeby przed nią nie ulegli, żeby nie poszli na lep i nie wpadli w zastawione im sidła. Tak więc rozpoczęło dwóch dwudziestokilkoletnich czy może trzydziestoletnich młodzików zuchwałą intrygę, mogącą się mieścić tylko w tak zimnych a ciasnych głowach, do zmuszenia we dwóch Europy do zbrojnej za Polską interwencyi, z całą świadomością, że cała Europa jest jej przeciwną.

A zresztą Szanowny Pan Autor może rachować na naiwność czytelników, nie mających pojęcia o 1863 roku, może tłómaczyć im, że w owym czasie człowiek młody, rozsadzany ambicyą, mający stósunki z Hotelem Lambert, *mający obawę pozostania po za działaniem narodowem od chwili, jak ukazały się rozsądne widoki powodzenia«* (I, 249), mógł być kozłem ofiarnym wciągniętym do działania przez poważnych, a bezradnych ludzi!

Że tak było, że pan Koźmian i jego przyjaciele uchwycili w Krakowie w swoje ręce obydwie nici ruchu, t. j. pana Alfreda Szczepańskiego i Hotel Lambert, dowodzi tego najlepiej, że sam przyznaje, iż

»Na razie usiłowaliśmy oszczędzać ofiar *niepotrzebnych*, a zarazem postanowiliśmy zażądać *brakującego nam dotąd stanowczego i ostatecznego słowa Hotelu Lambert,* któreby było stanowczem i ostatecznem słowem cesarza Napoleona i które moglibyśmy okazać. Poczem mieliśmy ostatecznie i stanowczo postąpić sobie: porzucić wyczekujące stanowisko i albo *rzucić się w powstanie,* jeżeliby ono było potrzebnem dla działania Napoleona III na korzyść Polski; albo w razie przeciwnym, potępić je, oświadczyć się za jego zaniechaniem i rozjechać się do naszych zatrudnień « (I 19).

Jakie było prawdziwe znaczenie tego warunkowego postanowienia, by »*rzucić się w powstanie,*« wykazała najlepiej chwila, gdy Hotel Lambert przysłał instrukcyą do rozszerzenia i utrzymywania jak najdłużej powstania. Pokazało się wtedy, że pan Koźmian nie postanowił bynajmniej rzucić *siebie* w powstanie, ale rzucić w nie drugich.

To też można i trzeba twierdzić z całą stanowczością, że podczas gdy pan Koźmian i przyjaciele wyczekiwali na *stanowcze słowo* Hotelu Lambert, mu-

sieli oni pracować wszelkiemi siłami nad poddaniem pod swoje rozkazy pana Alfreda Szczepańskiego naczelnika »*Ławy*,« bo przecież Duchem świętym ani nie działali ani działaćby nie mogli na to, żeby rozszerzać, albo uśmierzać powstanie stósownie do instrukcyi »Hotelu Lambert,« lecz musieli wyrobić sobie posłuch u człowieka, który miał władzę kierowania losami spiskowych i powiedzieć wschodzącemu słońcu powstania: »Idź,« »biegnij na złamanie karku« albo »stój«.

Jak to już wyżej wspomnieliśmy, te kilkanaście dni stanowią epokę, w której można powiedzieć tkwi klucz do rozjaśnienia wielu zagadnień, wpływających rozstrzygająco na sąd o dalszych wypadkach, których wyjaśnienia domagać się musi historya.

Spotkaliśmy się już z jednem ważnem pytaniem, a mianowicie: Kto wpłynął na powstrzymanie pierwotnego rozkazu wymarszu? Teraz ciśnie się nam drugie, a mianowicie: Czy i kto wpłynął na ostateczny rozkaz do wymarszu oddziału krakowskiego 6-go lutego?

Nie mając pod tym względem żadnych wskazówek, zaznaczyć tylko można fakt, że 3-go przyjechał pan Koźmian do Krakowa, a w parę dni potem wydano spiskowym rozkaz do udania się do Ojcowa.

Jak się wyżej powiedziało, pan Koźmian i pan Ludwik Wodzicki przyjechali do Krakowa z pragnieniem »*odznaczenia się w służbie ojczystej na obszerniejszem polu, w większym niż dotąd stylu,*« że następnie na pana Koźmiana działała

> »obawa pozostania po za działaniem narodowem, od chwili jak okazały się rozsądne widoki powodzenia« (I., 249).

Wiemy od pana Koźmiana, że on i jego przyjaciele ukazaniu się tych widoków dopomagali szczerze zaraz od

pierwszej chwili, skoro trafiwszy u starszyzny, na brak zupełnej nadziei, żeby z tego ruchu mogło coś dobrego wyniknąć, przeciwnie na zupełnie ustalone przekonanie, że Europa w żadnym razie nie wda się w sprawę polską, pomimo tego jednak postanowili apelować do Hotelu Lambert i próbować, czy przez tenże nie udałoby się wytworzyć jakich *niesztucznie wywołanych* widoków, usprawiedliwiających *szukanie szerszego pola do odznaczenia* się w służbie ojczystej. A o tem chyba wiedzieli, że gdyby powstanie zupełnie ustało, to ustałby także powód do wciągania »Hotelu Lambert« do akcyi dyplomatycznej.

Ale nie na tem koniec niejasności. Dowiadujemy się, że Hotel Lambert

»nie mówił co wobec powstania począć, jak się zachować, czy należy je potępić i od niego zupełnie się odsunąć; słowem okazywał pewne wahanie« (I, 21).

Z tego jednak widać, że *Hotel Lambert*, coś mówił i jakieś instrukcye przysyłał, zanim 9 lutego nie wyprawił przez kuryera G. F. najwięcej stanowczej instrukcyi do natychmiastowego zaniechania powstania, jak to dalej zobaczymy. Nie bardzo więc dobrze rozumiem, dlaczego Szanowny Autor nie podaje nam tych wahających się jego depesz.

W każdym razie uderzającą jest rzeczą, że cały przebieg działań oddziału powstańczego w Ojcowie tak dokładnie odbijał stan umysłowy pana Koźmiana, wywołany zmiennemi instrukcyami, przychodzącemi z *Hotelu Lambert*. Równocześnie jak pan Koźmian dostaje ztamtąd instrukcye wahające się, działanie oddziału zaczyna się także wahać. Krakowski oddział wychodzi wprawdzie do obozu w Ojcowie, ale pozostaje w zupełnej bezczynności. Pamiętam te dziewięć dni wycze-

kiwania na wiadomości, które codziennie były jedne i te same: Oddział bezczynnie legł w Ojcowskiej kotlinie, wyczekując chyba, żeby wreszcie wojsko rosyjskie go osaczyło i jednej żywej duszy nie wypuściło z rąk swoich. Jak na partyzancki oddział, który tylko ruchliwością może zabezpieczać swoje istnienie i wzmacniać się, było to rzeczą zupełnie niezrozumiałą, dającą się wytłómaczyć chyba względami wyższej politycznej natury.

XV.

Przez parę dni, które upłynęły do wymarszu, pamiętam jak z wyjątkiem mojego ojca, który zamknął się w poważnem smutnem milczeniu, widząc już teraz honor swojego syna zaangażowany — wszyscy poważni ludzie wysilali się na argumenta, by jeszcze w ostatniej chwili wstrzymać mojego brata i Jana Tomkowicza. Jak dziś pamiętam, jak pan Teofil Wężyk może przez godzinę przekładał im, że sobie bezużyteczną śmierć a krajowi ruinę gotują. Jak opowiadał im, żeby sobie nie wyobrażali zbrojnych zastępów, bo widział tych biedaków przechodzących przez Minogę po większej części obdartych, bez porządnego obuwia, a co najgorsza bez broni, którą zastępują kosy lub gwoździe zabite na kijach. »Co wy chcecie, mówił, z taką zbieraniną bezbronną zrobić przeciwko Rosyi?« Wszystko to mówił napróżno, zresztą co do tych dwóch zapóźno.

Na parę dni przed wyjściem przyjechał do nas krewny nasz Michał Dobrzański, syn pułkownika z 1831 r., a przedtem oficera wojsk napoleońskich, człowiek niepospolitych zdolności i energii. Skończył on z odznaczeniem akademią wojskową w Wiener-Neustadt, poczem odbywał kampanią włoską 1859 r.

Po kampanii mój ojciec utrzymywał, że nie godzi się teraz Polakowi służyć w austryackiem wojsku, dla tego też wystąpił i pojechał do Turynu kształcić się w teoryi wojskowej. Przeczytawszy w którejś z gazet włoskich jedno z tych kłamstw rozsyłanych z Krakowa, któremi się pan Koźmian przechwala, a mianowicie, że zdaje mi się w Radzyniu powstańcy zdobyli 8 armat, uznał jako wojskowy, że powstanie musi być w takim razie bardzo poważnem i pospieszył do Krakowa, gdzie go odrazu czekało wielkie rozczarowanie. Przyjechawszy, widząc, że mój brat wychodzi, nie chciał się cofnąć, prowadził jednak układy z Kurowskim co do swojego stanowiska i dlatego dopiero w kilka dni później do obozu pojechał.

Mój brat otrzymał rozkaz do wymarszu na dzień 6-go lutego. Przed wyjazdem napisał następujący list do najmłodszej naszej siostry, która była w Poznaniu w zakładzie wychowawczym Panien Serca Jezusowego. Przytaczam go w całości, daje on bowiem żywy obraz uczuć ożywiających wówczas te szlachetne serca, pełne poświęcenia i naiwnej wiary:

»Kraków, $^{6}/_{2}$ 1863«

»Droga Helciu!«

»Dzisiejszej nocy jadę do Ojcowa do obozu powstańców, honor i uczucie Polaka nakazuje mi połączyć się z braćmi, co z bronią w ręku chcą oswobodzić ojczyznę od jarzma nieprzyjaciół. W tym tygodniu już może zobaczę ogień, jadę za pozwoleniem Papy, mogę Cię zapewnić, iż nazwisko, jakie nosimy, nie będzie spodlone przezemnie. Krótko do Ciebie piszę, bo idę zaraz do spowiedzi, bądź zdrowa, módl się za mnie i za Polskę, oby Bóg nam pobłogosławił, a może zobaczymy się w Poznaniu. Wstępuję jako oficer do pułku Żuawów, myślę, że albo zobaczysz mię zwycięzcą, lub zobaczymy się gdzieindziej«. »Bądź zdrowa«

»twój«

(podp.) »Emanuel Moszyński«.

Przed wieczorem zebrali się u nas: mój brat Emanuel, Jan Tomkowicz, Rochebrun, Borejsza z Litwy, i X., jeden z kolegów uniwersyteckich mojego brata. Cała rodzina nasza i Tomkowiczów zgromadziła się dla pożegnania odjeżdżających bohaterów. Gdy już mieli wsiadać na wózek, Michał Dobrzański powiedział do nich: »Dajcie sobie słowo, że żaden nie da się wziąść żywcem Moskalom«. Dali wszyscy i wszyscy dotrzymali jak mogli. Rochebrun dokazując cudów waleczności i zręczności, wyrywając podczas ataku w ulicy prowadzącej od cmentarza karabiny z rąk Moskalom i rzucając je po za siebie, mój brat i Jan Tomkowicz znajdując śmierć u boku Rochebrun'a od gradu kul padających z okien. Michał Dobrzański wjechał na rynek, gdy już wszystko było skończonem, i strzelał z konia do okien z rewolweru, dopóki nie został sam śmiertelnie ugodzonym. Kolega mojego brata X., unikając sumiennie dania wszelkiej sposobności Moskalom do wzięcia go w niewolę, jeden z pierwszych oparł się szczęśliwie o mury Krakowa. Wreszcie Borejsza przedarł się z kilkunastoma ludźmi do Langiewicza i tam znalazł śmierć pod Małagoszczą, pod którą zginął tegoż samego dnia Roman Dobrzański, brat Michała, oficer inżynieryi armii austryackiej.

Ale nie wyprzedzajmy wypadków. Gdym się żegnał z Tomkowiczem, ten zapytał mię: »jak to nie idziesz, ty, coś się tak wybierał?« Słowa te były dla mnie dopełnieniem kielicha goryczy. Widocznie Bogu trzeba było, by aby jedna żywa dusza wyszła z tego potopu krwi, w którejby przechowały się żywo wszelkie wzniosłe zachwyty i wszelkie upokorzenia, które były udziałem dusz i serc w owej epoce. Byłem złamany żalem, że mi nie dozwolono iść z braćmi moimi na niechybną

śmierć, i doznawałem od tego czasu długie lata wstydu, że ja jeden z pośrodka nich pozostałem przy życiu.

A przecież ja byłem dzieckiem. Przecież nie popełniłem żadnego fałszu, ani przed Bogiem, ani przed ludźmi. Mówiłem, że będę walczył, że pójdę śmierci szukać, bo chciałem jej szukać, bo byłem na nią zdecydowanym, bo byłbym na nią poszedł, gdyby nie wstrzymanie wymarszu, gdyby nie przyjazd ojca i groźba jego niebłogosławieństwa. Przecież nie zobowiązywałem się przed nikim, nie wysłałem na śmierć nikogo. A przecież zdawało mi się, że serce mi pęknie, że głowa nie potrafi wytrzymać wrażenia: »oni zginęli, a ja żyję, a ja muszę żyć«. Zdawało mi się od tej chwili, że nie wolno mi ludziom spojrzeć śmiało w oczy, że moje życie jest kontrabandą?

Żal straszny, straszne napędzał myśli do zbolałego, rozstrojonego umysłu. Nasuwało mi się wtedy pytanie: czy wolno całe życie człowieka napawać żądzą poświęcenia swojego życia dla niepodległości ojczyzny i nie iść do ostatnich logicznych konsekwencyi tego ideału? Czy wolno od urodzenia rozpalać w duszy i sercu ideał, którego dosiągnięcie jest niemożliwem, a droga do jego osiągnięcia uważaną przez najzacniejszych z zacnych, przez najgorętszych patryotów za największe dla kraju nieszczęście? Trzeba było wielu lat pracy, walk i poddania się woli Bożej, trzeba było na to nawet rzeczywistych moralnych upadków, trzeba było okupienia ich żalem i pracą, trzeba było wyświetlenia swojego serca cierpieniem, żeby zrozumieć wreszcie, jak wielkie i mądre są wyroki Opatrzności, żeby pojąć, że jedyny skarb, który rodzice winni są dzieciom, jest czystość i prawda uczuć. Za rozum, za słuszne ocenianie tego, jaką drogę należy obrać, odpowiada każdy tylko za siebie, odkąd

samodzielnym zostanie człowiekiem, bo pojęcie o przyszłości ojczyzny, a więc ambicye nasze dla niej, muszą się stósować do zmiennego, coraz to w większych kołach rozszerzającego się biegu ustroju społecznego. Tego najważniejszego obowiązku rzucenia w nasze serca ziarna miłości prawdy, oparcia na niej miłości Ojczyzny, dopełnił mój ojciec względem nas całem swojem blisko 80-letniem życiem.

W pośród tych walk i cierpień pojąłem wreszcie, że kto nie z rozwoju bytu i życia narodowego, ale z niepodległości politycznej robi najwyższy, najszczytniejszy cel wspólnych dążeń narodowych, ten robi jak człowiek, któryby nie rozwój, wydoskonalenie i uszlachetnienie swojej istoty za najwyższy swój cel ziemski uważał, ale odzyskanie ręki, nogi, lub któregokolwiek z utraconych zmysłów. Niezawodnie, że tak samo jak u człowieka zdrowie ciała, tak u narodu niepodległość polityczna jest wielkiem do rozwoju ułatwieniem, ale zawsze jest ona tylko środkiem rozwoju, a więc celem ubocznym, nieraz niedościgłym, a nigdy głównym i najszczytniejszym być dla nas nie może.

XVI.

W kilka dni po wyjściu do Ojcowa, zjawił się mój brat z Rochebrun'em, przysłany po rekwizycyą butów dla oddziału. Smutny, przybity, obdarty już ze wszystkich illuzyi, wiedzący jedno tylko, że idzie na niechybną, bezużyteczną śmierć i na nią zdecydowany. Gdym próbował jeszcze prosić go, żeby wpłynął na zmianę decyzyi mojego ojca, odpowiedział mi: »Nie zrobię tego; cóż ty myślisz, że my idziemy na zwycięztwo?« — »My idziemy na niechybną śmierć, nie zrobimy nic, ale krwią naszą utorujemy interwencyą mocarstw, Austrya się wda i Polskę odbuduje«. Dziś po 31 latach przezierając arty-

kuły »Czasu« z tej epoki, natrafiłem w Nr. 34 z dnia 12 lutego 1863 r. Na następujący:

»Z odroczeniem sejmu zawieszamy i my sprawy sejmowe«... Rozmaite doniesienia w tej mierze mówią o interpelacyach, o wnioskach mających się odnosić do ruchów w Kongresówce. Jeżeli tak jest, to interpelacye jak i wnioski«... »mogłyby«... »wprowadzić Austryą w sam rdzeń sprawy, o którą bój się toczy w Królestwie, a tem samem *poruszyć ogólnie kwestyą polską*«... »*Inicyatywa Austryi* w tej sprawie dałaby temu państwu *przewagę* w tych wszystkich *kwestyach, które z Polską mają styczność*; — a dotąd Rosya tę rolę dzierżyła«... »Nie idziemy w przypuszczeniach naszych dalej, nie dotykaliśmy wcale rozleglejszego pytania, co do wzięcia przez Austryą inicyatywy w kwestyi polskiej«...

Mając tu jako główny cel: wydarcie Rosyi przewagi w sprawie polskiej, t. j. zwalenie Wielopolskiego, odsłania jednocześnie »Czas« rąbek nadziei, którą puszcza w oczy biednym skazańcom, podjudzanym dnia poprzedniego następującemi słowy:

»Przerażające są opisy rzezi, jakich się wojsko rosyjskie dopuszcza na bezbronnych mieszkańcach w Królestwie Polskiem, a jednak opisy te są mdłym tylko i niedokładnym obrazem tego, co się tam dzieje«... »Skutek zaś prawdopodobny taki tylko może nastąpić, iż mieszkańcy łączyć się będą z powstaniem«... »czując się bezpieczniejszymi w obozie powstańczym«... »Każdy więc mieszkaniec przeniesie walkę, a choćby i śmierć z bronią w ręku, mogąc życie swe drogo sprzedać, aniżeli pozostać w domu, by widzieć zarzynane dzieci swoje, znieważone żony, siostry, córki i paść bezbronny pod kolbą lub bagnetem rozjuszonego nieprzyjaciela«... Środek ten jednak obrócić się łatwo może przeciw Rosyi, poruszywszy masy dotąd niepewne. Obrona własności może stać się dla nich drogą do pojęcia obrony ojczyzny« (Nr 33 »Czasu 1863).

Tymczasem nieszczęsny kuryer wysłany 9 lutego z Paryża przez Księcia Władysława Czartoryskiego, nie spieszył się z tak ważną wiadomością jak instrukcya, że:

»Nadziei żadnej w tym stanie rzeczy ani mieć, ani dawać niepodobna; ale jeżeli co jeszcze uratowaćby mogło sprawę polską i dla dzielnicy pod zaborem rosyjskim zapewnić pomyślne lub znośne warunki, to jedynie natychmiastowe, zupełne zaniechanie powstania« (I, 23).

Przepraszam Szanownego Autora, ale jest to dla mnie rzeczą wręcz niemożliwą do uwierzenia, żeby Książę Władysław Czartoryski — który, jak wiemy, używał cyfrowanych depesz dla dawania instrukcyi — wiedząc, że krew się leje, powierzył tak ważną wiadomość wyłącznie kuryerowi, który, jak się pokazuje, wiózł ją z Paryża do Krakowa od 9-go do 16-go lutego. Nie mogę inaczej sądzić, jak tylko, że kuryer był uzupełnieniem depeszy, która nie jest podaną do publicznej wiadomości.

Na kim ciąży wina, że tak ważna wiadomość potrzebowała aż 7 dni do dojścia z Paryża do Krakowa, może jeszcze kiedyś wyjaśni historya, ale to fakt, że 13-go lutego 1863 r., t. j. w 5 dni po wyjeździe kuryera, ukazał się właśnie w Nrze 35-tym »Czasu« artykuł wstępny, ogłaszający powstanie za narodowe:

»Wszystkie fakta najjawniejsze i powszechnie znane« — czytamy tamże — »dowiodły najdokładniej nietylko krajowi, lecz całej Europie i przekonanie, głębokie, bo na czynach spełnionych oparte, ustaliły, że dopiero *okropne ostatnie bezprawie rządu rosyjskiego*, straszna proskrypcya« ... »*popchnęła ludność Kongresówki do rozpacznego, doraźnego, bez żadnych poprzednich przygotowań uczynionego wybuchu po-*

wstańczego, z którego rozwinęło się naturalnie powstanie narodowe« ...

»Tymczasem dzisiaj rząd rosyjski widząc, że powstanie przybiera coraz to groźniejsze dla niego rozmiary i rzuciwszy się z początku bezbronne na bagnety wojsk rosyjskich, walczy już dzisiaj bronią z rąk wrogów wydartą, widząc nadto, że *cała Europa oburzyła się* na ten rząd« ... »usiłuje wszelkiemi sposobami sobie właściwemi, nie cofając się przed żadnym fałszem, *zrzucić z siebie odpowiedzialność*, że on wywołał wybuch. Usiłuje dowieść najfałszywiej, wręcz wszystkim jawnym faktom przeciwne twierdzenie, nie tylko, że powstanie było naprzód obmyślane, ale nadto, że ów pobór, owo tłumne skazywanie do wojska ludzi politycznie podejrzanych ruchowi, w niczem nie przyczyniło się do wybuchu« ...

To ogłoszenie powstania za narodowe w dniu 13-tym lutego nasuwa rozmaite myśli i wątpliwości. Jeżeli Włodzimierz Cielecki przywiózł rzeczywiście do Krakowa tą bezsensowną instrukcyą od *Białych* warszawskich, to dziwna rzecz, że ta została wykonaną przez »Czas« dopiero w tydzień po przyjeździe Cieleckiego do Krakowa. Ta zwłoka dowodziłaby albo faktu, że instrukcya *Białych* przeznaczoną była dla Komitetu lwowskiego i dopiero w kilka dni później doszła drogą uboczną do wiadomości pana Koźmiana, albo też, że instrukcya ta była rzeczywiście przeznaczoną dla Autora »*Rzeczy o roku* 1863-*cim*«, który potrzebował aż tygodnia czasu na popchnięcie do tego stanowczego kroku tych bezradnych starszych konserwatystów krakowskich i na zyskanie rozstrzygającego wpływu na redakcyą »Czasu«. Przypuszczenie to można tem śmielej robić, że bardzo jest wątpliwem, czy rzeczywiście pan St. Koźmian i pan Ludwik Wodzicki szukali wraz z »*rozsądniejszą częścią społeczeństwa*« »*skazówek w Czasie*« (I, 8); czy też

przeciwnie — jak to jest prawdopodobniejszem — ci dwaj panowie inspirowali »Czas«, będąc w ciągłej styczności z *Hotelem Lambert*, a to prawdopodobieństwo tem bardziej wzrasta, gdy się zważy, że wówczas »*wpływ Manna w »Czasie« znikł; sam usunął się był do Rzymu*« (I, 9) — gdy się wreszcie zważy, że ojciec pana Koźmiana pisywał korespondencye z Paryża do »Czasu«, a sam pan Koźmian w kilka tygodni potem objął kierownictwo tego dziennika; a takiego nie powierza się chyba człowiekowi, którego sprytu i zdolności dziennikarskich nie wypróbuje się dobrze przedtem. Mam więc wszelkie posądzenie, że pan Koźmian musiał wówczas już inspirować »Czas«, a kto wie, czy nawet niektóre artykuły głębiej polityczne, jak n. p. ten o interesie Austryi w poruszeniu sprawy polskiej, nie z pod jego wychodziły pióra.

Wątpliwości te podnoszę głównie dla tego, że są one w związku z inną, daleko ważniejszą, a mianowicie, czy instrukcye kuryera G. F. nie były sygnalizowanemi w ciągu ubiegłych pięciu dni drogą telegraficzną panu Koźmianowi, jakby to koniecznie wypadało przypuszczać, i czy ogłoszenie powstania za narodowe w dniu 13-tym lutego nie miało właśnie na celu zmuszenia *Hotelu Lambert* do zmiany powyższej decyzyi. To pewna bowiem, że już wówczas pan Koźmian i przyjaciele wiedzieli wybornie o zawiązującej się konwencyi między Rosyą a Prusami, skoro p. Bismark zupełnie nie przygotowywał jej sekretnie, lecz przeciwnie nadał tej *sprawie rozgłos* przez *hałaśliwą missyą*, wyprawiając z nią swoich jenerałów do Warszawy i Petersburga, a wiedzieć o niej tem pewniej musieli, gdyż wyprawiona w tym przedmiocie 4-go lutego depesza p. Tengoborskiego do p. Ubrila, ambasadora rosyjskiego

w Berlinie, »*została przejętą przez powstańców*« [1]). Zresztą czytamy nawet w korespondencyi wiedeńskiej »Czasu« z dnia 13-go lutego 1863 r. co następuje:

...»Nie małej wagi politycznej jest przytem doniesienie ministeryalnego dziennika pruskiego *Nord deutsche Ztg.*, że między Berlinem a Petersburgiem zaszła pewna umowa co do sprawy polskiej. Jest to pierwszy most do ściślejszego związku, którego dotąd nie było, a który zupełnie odpowiada duchowi polityki p. Bismarka«...

»*Ost. d. Post* twierdzi, że... *Kreuz Ztg.* i *Nord d. Ztg.* bardzo się cieszą, że niebezpieczeństwo ze strony rewolucyi polskiej samym Prusom zagrażające, w jaskrawych kolorach malować mogą«...

...»Dzisiejsi«... »kierownicy polityki pruskiej i rosyjskiej w jednym punkcie bardzo się doskonale rozumieją, w nienawiści przeciw Austryi«.

»Wielkiej obawy, kończy artykuł, nie wzbudzi to w Austryi. Prusy ręka w rękę z Rosyą nie są niebezpiecznemi Austryi, ani pod względem niemieckiej ani europejskiej polityki. O ile Prusy łączą się z Rosyą, o tyle Austrya konstytucyjna tem pewniej liczyć może na sympatye, a na wypadek nawet na pomoc europejskiego zachodu«.

Wobec tego ogłoszenie powstania za narodowe pachnie bardzo działaniem zupełnie na swoją rękę, wbrew cytowanej powyżej instrukcyi *Hotelu Lambert*, i uprawnia do przypuszczenia, że ci panowie nie tyle szukali »*skazówek*« w »Czasie«, jak raczej mu je dawali podług natchnienia, które *w owej chwili* chyba z Wiednia mogło im przypływać.

Ale wróćmy do historyi wyprawy Miechowskiej. W tym samym dniu, gdy mój brat przyjechał do Krakowa, wrócił przed wieczorem z obozu Ojcow-

---

[1]) Klaczko »Deux Négotiations diplomatiques Revue de deux Mondes« 1864, str. 336.

skiego Michał Dobrzański, który jeździł tam dla układów z Kurowskim o stanowisko lub komendę, które mu ten wyznaczy. Przyjechał cały rozstrojony, blady, przybity, jak z krzyża zdjęty. Zastał w obozie najokropniejszy nieład, zamięszanie, zupełny prawie brak uzbrojenia i wszystkiego, co wojsku potrzeba, placówek żadnych, subordynacyi żadnej. Dojechał do samego naczelnego wodza w sam środek obozu, nie spytany przez nikogo, gdzie i po co jedzie? Kurowski wygadywał przed nim na Lipczyńskiego, Lipczyński na Kurowskiego, aż obrzydliwość go brała. Na domiar bolesnego wrażenia, wieczorem, gdy zmierzch zapadł, popłoch się robi i powstaje krzyk, że Moskale idą. Dobrzański ofiarowuje się, że sprawdzi rzecz. Jedzie naprzeciw szarzejącego się oddziału, przed którym spotyka chłopa przewodnika. Naciera go, by mu powiedział, kogo prowadzi, chłop milczy jak zaklęty. To utrwala w nim przekonanie, że to Moskale, podjeżdża konno bliżej i wali z rewolweru. Niestety, pokazuje się, że to oddział powstańców, który Kurowski sam kilka godzin przedtem wyprawił i zapomniał o nim. Kula rewolwerowa zraniła jednego powstańca. Wszystko to zrobiło na nim bolesne wrażenie. Późnym wieczorem pożegnałem się z bratem, któregom już nigdy więcej w życiu nie zobaczył. Odjechali z Rochebrun'em do Ojcowa.

W niedzielę zdecydował się Michał Dobrzański wstąpić do powstania. Przed wyjazdem rano szliśmy razem na mszę św. Wtedy mówił on do mnie, że z tego wszystkiego nic a nic być nie może, jeżeli się zaciąga, to tylko dla tego, że przyjechawszy, poczuwa się do obowiązku, jako wojskowy, próbować, czy znajomością rzeczy nie uda mu się cośkolwiek uratować. Zresztą, dodał, innej rady niema, tylko trzeba starać

się odnieść z jedno jakie zwycięstwo dla honoru, skorośmy już wyszli, a potem dać spokój wszystkiemu, wracać do Krakowa i rozjechać się. Jeżeli Pan Bóg da mi szczęśliwie wrócić — dodał — to przygotujemy lepsze powstanie. Tego dnia wyjechał i nie zobaczyłem go już więcej.

Kto wie, czy gdyby pan Koźmian zamiast depeszować do »Hotelu Lambert«, był się choć na tydzień zaciągnął do Ojcowa, czy nie byłby nabrał wstrętu do tego frymarczenia krwią, któremu się oddawał przez kilkanaście miesięcy, kto wie, czy po kilku dniach nie byłby doszedł do tego samego daru *»prorokowania w przeszłości«*, do tego samego rozumu politycznego, co Michał Dobrzański. Na szaleństwo jest tylko jedno lekarstwo, zanurzyć się w niem aż do samego dna i poznać jego bezdeń samemu.

W dniu 16-go lutego 1863 r., w sam dzień przybycia kuryera G. F. — jak się dowiadujemy z *Rzeczy o roku* 1863-*cim* — nadchodzi z Hotelu Lambert następująca depesza:

> »Wszystko zmienione, instrukcye... uważajcie za niebyłe. Trzeba jak najdłużej przetrzymywać walkę. Dalsze polecenia listownie« (I, 24).

Otóż dziwnym zbiegiem okoliczności tegoż dnia w nocy wyruszył Kurowski na Miechów. Może być, że to przypadek, ale takie dwa przypadki jeden po drugim, jak rozkaz wyruszenia powstańców z Krakowa, w parę dni po przyjeździe pana Koźmiana, a teraz znów wyprawa miechowska po depeszy powyższej, wyglądają zupełnie na tą uorganizowaną mechanikę, która potem tak świetnie i bez najmniejszej wątpliwości funkcyonowała. Tak więc te kilka słów miały pchnąć do

dwustu ofiar na bezużyteczną śmierć. Zresztą ich śmiercią nie myślę wcale obciążać sumienia pana Koźmiana. Do konspiracyi zaciągnęli się oni przedtem, nim pan Koźmian rozpoczął swoją zbawczą akcyą, poświęcili się sami na ofiarę, a więc śmierć ich była koniecznością wcześniej lub później. Żaden z tych, co wtedy na pierwszy ogień poszli, wbrew woli ojców i starszych, nie mógł i nie powinien był wrócić i z naszych nie wrócił ani jeden. — Bo niech pan Koźmian mówi co chce o honorze wojskowym polskim, ale to nie zmniejszy faktu, że ludzie, którzy lekkomyślnie lub szalenie uzurpowali sobie prawo do reprezentowania wojska polskiego, bez broni i dowódców, mieli jedną tylko drogę, żeby się nie ośmieszyć przed krajem i nieprzyjacielem, t. j. zginąć. Ludzie, co przysięgali, że nie puszczą broni z ręki, dokąd nie wywalczą niepodległości albo nie zginą, mieli jedną tylko drogę, chcąc nie być krzywoprzysięzcami, t. j. zginąć. Ale tak samo ludzie, którzy poprzysięgli narodowi na Boga żywego, że go doprowadzą do niepodległości lub zginą, powinni byli zginąć, jeżeli się nie mieli okryć hańbą oszustwa; również ci, którzy zuchwale frymarczyli krwią i najświętszemi ludzkiemi uczuciami, obiecując interwencyą, której nikt im nie zapewnił, powinni byli krew swoją zmieszać z krwią ofiar swojej głupoty i zuchwalstwa, jeżeli nie chcieli ściągnąć na siebie niezatartego piętna zbrodni, zdrady i podłości.

XVII.

I nie to mam wam za złe, że bracia nasi ponieśli śmierć bohaterską na cmentarzu i na ulicach Miechowa, ale to, żeście błotem, kłamstwem i fałszem zasypali ich mogiły. Nie to wam zarzucam, żeście uważali po-

wstanie za nieszczęście, żeście nie zapalali się do niego, ale to, żeście śmieli bez zapału, nie łudząc się sami, kłamać przed Europą i światem zapał i poświęcenie, kosztem najszlachetniejszej krwi polskiej.

Gdybyście byli zostawili powstanie naturalnemu swojemu biegowi, bylibyście nam zostawili ożywcze wspomnienie bohaterskich czynów naszych braci, gdzie dzieci prawie bezbronne siłą swojego poświęcenia, wyparłszy kosami i kijami zatarasowaną na cmentarzu Miechowskim i w kościele cmentarnym rosyjską piechotę, strzelającą do nich ze strzelnic, potrafiły wtargnąć aż na sam rynek przez krzyżowy ogień rażący z okien domów. Waryactwo powiecie! tak! ale nie demonstracya krwawa, nie farsa urządzona dlatego, byście mieli czem zapełniać swoje sprawozdania. Tam był jeszcze ten pierwszy potężny zapał, który się udzielał masie. Gdzie do dwustu trupów zaścielało pobojowisko, gdzie żuawy Rochebrun'a wdzierają się aż w sam środek miasta, gdzie kawalerya niewprawna, nie waha się wykonać bezsensownego rozkazu atakowania miasta i przebiega je wśród ognia od końca do końca, tam jest duch, który ożywia nie jednostki ale ogół. Że część wojowników, ten balast patryotyczny umknął z samego początku, to inaczej być nie mogło, że n. p. X. kolega mojego brata z całą naiwnością odpowiedział na zapytanie rektora uniwersytetu, czy bardzoście się bili? — »A może się tam kto bił, ja tak uciekałem, że ledwo mi nóg starczyło,« to także rzecz prosta, bo fałszywe apetyty poświęcenia, będą zawsze i wszędzie. Ale przynajmniej ten ostatni nosił skromnie swoje tchórzostwo i nie chciał go wyzyskiwać na zyskanie stempla wielkiego patryoty, który się poświęcał za ojczyznę. Ale zato prawdziwego bohaterstwa było

tam tyle i tak widocznego, że gdyby na niem było się skończyło, mielibyśmy wrażenie ożywiające nasze osierocenie, mielibyśmy wreszcie punkt oparcia w Was, których moglibyśmy szanować i czcić za to, że nie zeszliście z drogi rozumu i prawdy, w chwili gdy naród waryował. A teraz co za uczucie możemy mieć dla was? Nie waryowaliście, ale kłamaliście wtedy, kiedy inni swoje życie poświęcali; nie waryowaliście, ale nietylko sprawę powstania, ale sprawę Polski zrobiliście wstrętnym przedmiotem pośmiewiska i pogardy.

To też całą próżnią życia uczułem dopiero przez te długie miesiące, gdy widziałem te chmary płatnej gawiedzi uciekinierów, wałęsające się po Krakowie, wypychane przez was dziś do Królestwa na to, by jutro albo wieczorem być z powrotem w Krakowie. I ta gawiedź miała reprezentować następców naszych braci, miała reprezentować przedstawicieli bohaterów walczących za ojczyznę!

Znam rozmaite uczucia ludzkie, ale tego nie wyobrażę sobie chyba nigdy, co siedzi w sercu ludzi, którzy zdolni są takiej nędznej igraszki ze wzniosłych uczuć miłości ojczyzny!

Tak straciwszy wszystkich, z którymi wspólnie czułem, widziałem, jak rwała się jedna nić po drugiej, łącząca mię dotychczas ze światem. Życie koleżeńskie, którego byłem dotąd siłą ożywczą, zbrzydło mi, bo w tych co zostali, widziałem tylko wyuczoną formułkę uczuć, treści w nich nie było. Przeciągające się demonstracye studenckie zbrzydły mi tak samo jak wasze teatralne walki. Wystąpiłem ze szkół publicznych, uczyłem się w domu. Jako towarzystwo miałem młodszych od siebie krewnych, z którymi nie przeszedłem kilkunastu lat marzeń, dążeń i planów. Zabrałem się z po-

dwójną gorliwością do pracy. Tyle cierpień, tyle zgryzot i zawodów odbiło się na mojem usposobieniu. Zrobiłem się zamkniętym w sobie, zdawało mi się, że każdy wyraz gorącego uczucia jest profanacyą tych skarbów, które złożyli w mojem sercu ci, których już nie było ze mną. Vae soli! powiedział mi kiedyś pan Paweł Popiel. O prawda, vae soli! Biada temu kto sam jeden pozostał, gdy w koło niego wytępiono wszystko, co miało w sercu prawdę uczuć i poświęcenia. Biada temu, kto rzuconym jest w wyrodzone społeczeństwo, przed którem kryć się trzeba z każdem szczerem uczuciem z obawy, żeby nie było skalanem. Dotąd żal rozsadzał moje serce, ale rozpacz w niem nie postała. Wszedłem na uniwersytet, a jednocześnie wszedłem w to, co się światem zowie. Postanowiłem naginać się do waszych wymagań, żeby was nie razić. Ale ile razy zetknąłem się z tym waszym światem, wracałem do domu zrozpaczony. Na szczęście nie wiedziałem wówczas jeszcze o tem, że to wy podarliście w strzępy sztandar honoru i godności narodowej. Widziałem po rynsztokach włóczące się jego łachmany, nie wiedziałem, kto je w błoto rzucił; przypuszczałem, że czerwieńcy. Zanadto dużo przeżyłem i przeczułem od tych lat kilku, żeby nie przejrzeć całego niebezpieczeństwa spisków i tajemnych knowań. To też gdy wystąpiliście wreszcie z waszą »teką Stańczyka,« myślałem, że znalazłem ludzi, którzy miłość ojczyzny wynoszą po nad osobiste ambicye, po nad osobistą próżność, po nad żądze poklasku; więc przyklasnąłem wam szczerze. Zdawało mi się, że nowe życie przedemną się otwiera, że Bóg zabrawszy mi braci, którzy tylko umieli się poświęcać, zastąpi mi ich ludźmi, którzy umieją się i poświęcić i rozumnie działać dla kraju.

Próbowałem się do was zbliżyć, chciałem się przy was ogrzać. Chciałem w was znaleść podporę wszystkiego co szlachetne. Bo dusza moja obdarta z naturalnych swoich ognisk, — bo te już legły w grobie — potrzebowała podpory serc młodych i szlachetnych, któreby ciepłem swojem utrzymywały ją na drodze prawdy, ułatwiały jej zgodę sumienia z postępowaniem. Szukałem w was utwierdzenia i podpory w ciężkiej drodze życia, spotkałem tylko tolerancyą wszystkich nizkich uczuć ludzkich, tolerancyą wszystkiego, oprócz szczerości i prawdy.

W dziele swojem wyraża się co chwila p. Koźmian: ja i moi przyjaciele t. j. pan Ludwik Wodzicki i Stanisław Tarnowski. Otóż pozwolisz Szanowny Autorze, że poważę się zrobić małą segregacyą w tej trójcy, którą Pan tak koniecznie chcesz równać jednym strychulcem.

Wszystko co się mówiło o panu Koźmianie i przyjaciołach, może się zupełnie stósować do niego i do Ludwika Wodzickiego. Razem się zjechali w Krakowie, razem rozpoczęli swoją zbawczą komedyą i zapieczętowali ją krwią marnie przelewaną. Dodać tu jednak trzeba, że jeżeli Ludwik Wodzicki pozwolił sobie puścić wodze szalonej ambicyi i marnować krew i honor polski, to ma nad panem Koźmianem tą ogromną wyższość, że czuł się przynajmniej obowiązanym swoim własnym honorem, do zajrzenia aby raz śmierci w oczy, na którą innych całemi miesiącami wysyłał. Poszedł więc pod Komorów, a jeżeli nie znalazł, a prawdopodobnie nie szukał śmierci wraz z Juliuszem Tarnowskim, to przynajmniej sprawiał się przez ten dzień dzielnie. Otóż o tym obowiązku honoru przepomniał pan Koźmian. Zupełnie w odrębnem położeniu

jest Stanisław Tarnowski. Przyjechał on do Krakowa, do niczego się przedtem nie mieszając, już po rozbiciu Kurowskiego, a więc w czasach, gdzie szopka funkcyonowała już w najlepsze, a dodajmy, że funkcyonowała wyłącznie, aż do ukazania się oddziału Zygmunta Chmieleńskiego. Widzimy więc, że St. Tarnowski przyjechał na rzecz już gotową w chwilach, gdy zapału prawdziwego nie było już ani śladu i po prostu dał się nieopatrznie wciągnąć w działanie, którego ofiarą padł jego brat Juliusz. Tarnowskiemu więc nie przyszła ta myśl sztucznego udawania powstania, ale tylko dał się na nią złapać. Jeżeli więc nie można go uniewinniać, to jednak trzeba bardzo zmniejszyć część jego odpowiedzialności, bo postępek jego dowodzi daleko więcej braku bystrości w oryentowaniu się, jak lekceważenia krwi cudzej. Maszyna bowiem tak już szła regularnie i gładko, że się nieopatrzył, co nikczemnego jest w jej motorze.

Ta to przeciwna zdrowemu sensowi wspólność tych trzech ludzi, stanowiących całą gamę uczuć i poglądów, jest głównym powodem niespodzianek, na jakie narażonym był każdy, kto się do nich zbliżał.

XVIII.

Nadeszła chwila, w której miałem wejść w samodzielne życie. Czułem cały ciężar obowiązków względem kraju, które wkładało na mnie długie, pełne poświęceń i cierpień życie mojego ojca i krew mojego brata marnie wylana. Chwilami zdawało mi się, że zwichnięte przed wejściem w życie siły mojej duszy są za słabe, by dźwignąć ten ciężar. Nieraz stawały mi w głębi

serca słowa Zbawiciela: »*A drugie padło między ciernie, a społem wszedłszy ciernie, zadusiło je*« (u Św. Łuk. R. VIII).

Gdzie szukać prawdy obowiązków w tych ciężkich czasach potopu i zniszczenia?

»*Jam jest droga, prawda i żywot*« (u Św. Jana R. XIV, 6) — powiedział Chrystus Pan — »*Jam jest światłość świata. Kto za mną idzie nie chodzi w ciemności: ale będzie miał światłość żywota*« (u Św. Jana R. VII, 12) i wstąpiła w duszę moją wiara w przyszłość i wstąpiła siła do życia, siła do zniesienia wszystkiego, do spodziewania się wszystkiego. Zrozumiałem, że cały ogrom obowiązków człowieka względem Boga, bliźnich i ludzkości, w dwóch tylko zawiera się słowach: w miłości i w pracy.

Porzuciwszy więc wielkie plany korzystania z pola politycznego i publicznego działania, które się po nieszczęsnem powstaniu 1863 roku, — a w znacznej części jako jego skutek, — otwarło przed Galicyą, poszedłem oddać się ciężkiej pracy na tym kawale polskiej ziemi, na której dziadowie i pradziadowie moi pracowali i poświęcali się jeszcze jako wolni wolnej rzeczypospolitej polskiej synowie, na tej ziemi, którą powstanie oddało na łup samowoli czynowników, pracujących bez wytchnienia, nad wydarciem jej z rąk polskich, nad zasianiem na niej ziarna zawiści między chłopem a dziedzicem, między synem a ojcem, między społeczeństwem a Bogiem. — System ten zaczął już wcześnie kiełkować w rządzie rosyjskim, podczas borykania się władz wojskowych z powstaniem. Żywy obraz tego systemu podaje nam niepodejrzany świadek książę Emil z Sayn-Wittgenstein-Berleburg, naczelnik wojenny okręgu Kaliskiego w sprawozdaniu, pisanem $^{1}/_{13}$ marca 1863 do

p. Tęgoborskiego, naczelnika kancelaryi dyplomatycznej wielkiego Księcia Konstantego. [1])

...»Mogę sumiennie zapewnić pana — pisze Książe — że jesteśmy na prostej drodze, która doprowadziła w Galicyi do anarchii 1846 r., jeżeli nie skierujemy się na prawo o ile możności jak najprędzej.«

»W początku teraźniejszego powstania, rząd tak się — mojem zdaniem — ucieszył słusznem zachowaniem się chłopów, że im cugle położył na karku. Zaczęli oni od rozumnego odmawiania udziału w powstaniu, następnie zatrzymywali i wydawali w ręce sprawiedliwości uzbrojonych włóczęgów, których po drogach spotykali. Wszystko to było wybornem i chwalono ich za to. Ale chwaląc, zapomniano przedsięwzięcia potrzebnych środków, by przeszkodzić nadużyciom, koniecznym u ludzi niezdolnych utrzymania się bez zawrotu głowy na wysokości moralnej, na której ich postawiono. Otóż pochwały te, uprawniające ich działanie, nie zaznaczyły im żadnej granicy, upoiły ich. Sądzili oni, że przysłuża im prawo wykonawczej sprawiedliwości i poszli o wiele dalej; więżą oni już ludzi bezbronnych, wydających się im podejrzanymi, by z czasem idąc po nitce do kłębka, więzić u siebie w domu właścicieli ziemskich, którym nie ufają. Doszli oni już do tego, że dopuszczają się gwałtów, na wszystkich, którzy im się nie podobają, a wkrótce, gdy się do tego dołączy interes, będą więzili osoby, przeciw którym mają powód do skarżenia się, właścicieli ziemskich, z którymi mają proces, żydów i karczmarzy, którym są winni pieniądze. (Zrobią to z tem mniejszem wachaniem się, że już im włożono w głowę, że wszystkie majątki zasekwestrowane będą do nich należały). — Nareszcie, gdy to im już nie wystarczy, zaczną rżnąć. Już teraz prawie ciągle są oni pijani, robią domowe rewizye, grożąc śmiercią rodzinom tych, którzyby poszli do »lasu.« Właściciele ziemscy skarżą się i drżą przed ich groźbami; są w ciągłym niepokoju, w obawie rzezi, a władze

[1]) Souvenirs et Correspondance du prince Emil Wittgenstein-Berlebourg. Paris 1889 (t. II, str. 29).

są na to głuchemi, twierdząc, że mają oni to, na co zasłużyli, i że nie mogą zniechęcać chłopów w ich zapale prawomyślności. Powtarzam, że jest to taktyką, która nas zaprowadzi do anarchii, tak trudnej do zgniecenia jak sama rewolucya, anarchii, która pozostawi za sobą ruiny i potoki krwi. Nie uspakaja się wrzenie kraju, rozpasając jedną warstwę społeczeństwa przeciwko drugiej! Zobaczycie, że jeżeli rząd nie przedsięweźmie szybko środków do zgniecenia tego nieporządku, to będzie zmuszonym po zgnieceniu powstania, kartaczować tych nawet, którzyby mu oddawali najlepsze usługi. Myślę, że naszym zamiarem nie jest obracanie kraju w perzynę, lecz przeciwnie zachowanie dla cesarza królestwa o ile się da jak najmniej zniszczonego. — Przyjmuję za fakt, że największa część właścicieli ziemskich, macza palce w tej nieszczęsnej rewolucyi bądź wprost, bądź pośrednio. Ale trzeba brać w rachubę okoliczności, strach paraliżujący wielu z nich, wobec tego, że bez żadnej materyalnej protekcyi, są oni wystawionymi z jednej strony na stryczek powstańców, z drugiej na sprawiedliwość *Lynch'u* chłopskiego, lub też na tolerowane zanadto często wybryki żołnierzy. Zanim się więc ich hurtownie potępi, trzeba zadać sobie pytanie, co zrobiłoby się na ich miejscu, mając do zachowania swoją rodzinę, mając do utrzymania o ile się da w całości swoją skórę, swoje mienie a nie mając do obrony urzędowego charakteru. Jednem słowem ja uważam ich za bardzo godnych pożałowania, w tem położeniu ich między młotem a kowadłem i zdaje mi się, że nie mogąc ich sami zasłaniać, nie powinniśmy zanadto brać za złe nawet tym, którzy nie łącząc się z powstaniem, *kokietują* z niem. Pierwszy będę żądał srogości względem pojedyńczych! Oby karano indywiduum, ale nie całą warstwę, gdy się go nie uda znaleść, szczególniej zaś, gdy ta warstwa sama jedna stanowi podstawę dobrobytu kraju! Oby nie używano do zamatowania jej tych właśnie, którzy mają interes w zrujnowaniu jej i oby nie łączono w nich urzędu żandarma z urzędem sędziego! Żądam, żeby chłopi pilnowali powstańców, żeby ich tropili; żeby ich denuncyowali, — byleby sprawiedliwości kompetentnej było potem zostawionem wyjaśnienie

rzeczy, — ale żeby na tem się ograniczono, a pod żadnym pozorem nie było im dozwolonem czynne działanie. Lepiej jest pozwolić ujść winnemu jak rozkiełznać przeciw niewinnym, przerażającą dzikość ludzi działających na oślep, często pod wpływem wódki, albo pod wpływem przywódzców dążących do celów osobistych, i nie dających w ogóle żadnej moralnej gwarancyi.«

Taki był początek tego systemu, który potem wcielił się w Czerkawskiego i Milutyna, otoczonych całym zastępem radykałów socyalnych, którzy wymierzyli cios już nie w życie polityczne, ale w życie społeczne naszego narodu, wdzierając się coraz to większą zawziętością w najskrytsze arterye życia codziennego... w najgłębsze tajniki duszy i serca.

Jedną rzecz tylko zrozumiałem odrazu, że społeczną walkę tylko na chrześciańskiem, społecznem polu można z powodzeniem prowadzić. Wyrzekłem się więc wszelkiej politycznej ambicyi i podążyłem stanąć pod sztandarem pracy i rezygnacyi, pomnąc na słowa Pawła Świętego:

»Bracia! Cokolwiek napisano, ku naszej nauce napisano, abyśmy przez cierpliwość i pociechę Pisma nadzieję mieli « (R. XV).

Głos sumienia mówił mi, że w tych okolicznościach gonić za zwodniczem zadośćuczynieniem swojej ambicyi i wprzęgać się do życia politycznego, którego wrota otworzyły się przed Galicyą na rozcież, byłoby dezercyą z pola walki, dezercyą z jednego z najwięcej zagrożonych posterunków narodowych. Pojechałem więc do mojego majątku w Królestwie Polskiem i oddałem się z podwójnym zapałem pracy, która mię nauczyła, że jeżeli wzniosłem jest poświęcenie krwi, to może równie wzniosłem, a kto wie czy nie trudniejszem jest poświę-

cenie życia. W tej pracy znalazłem jego cel, znalazłem ukojenie zbolałego mojego serca, znalazłem okiełznanie wybujałej mojej imaginacyi, znalazłem sposobność i szkołę do zaznaczania miłości do kraju czynem, a nie słowami, lub pięknemi frazesami. Ale znalazłem równocześnie znajomość kraju, jego ludzi i stósunków, z której wyniosłem przekonanie, że nie ma tak niekorzystnych tendencyi rządu, przy którychby człowiek uczciwy i dobrej woli, nie mógł znaleść w zakresie istniejących praw, pola do jawnej i pożytecznej pracy chrześciańskiej.

Zabierając się do pracy prawie bez nadziei, żeby mogła ona wydać za mojego życia jakiekolwiek namacalne owoce: po latach kilku zacząłem już spostrzegać wzrastającą zamożność ludu, wzrastający powoli dla mnie szacunek tegoż, a wreszcie i zaufanie. To hasło pracy organicznej, które w Galicyi tkwiło głównie we wstępnych artykułach gazet, w Królestwie Polskiem, wydało mi się rzeczywistością, do której rzucił się kraj cały. Przekonałem się, że praca zmieniła do gruntu w ciągu lat kilku to spółeczeństwo, tak szalone, tak głuche na wszelki głos rozsądku w nieszczęsnej epoce 1863-go roku! Potępienie powstania, żal za reformami Wielopolskiego, gotowość do przyjęcia z wdzięcznością każdej ulgi, na którąby się rząd zdecydował, znaleść można było na dnie każdej szlachetnej duszy. Ale równocześnie tu dopiero można było zrozumieć cały ogrom krzywdy, jaką Galicya wyrządza przyszłości tego kraju, drażniąc swojemi gazetami i podjudzeniami do ostateczności rząd rosyjski i utwierdzając go przez to w systemie zajadłości i eksterminacyi, który po powstaniu zawrzał przeciw polskiemu narodowi.

Na zawiść jedną tylko dał nam Pan Bóg broń, a tą jest broń miłości, tak samo jak przeciwko syste-

mowi wytępienia, dał nam Bóg broń pracy i rezygnacyi. Po niewielu latach przekonałem się nie tylko o owocach, które zbierałem pełnemi garściami w sercach otaczającego mnie ludu, ale również spostrzegłem, że idąc jawną drogą pracy, nie przekraczającej w żadnym kierunku ram istniejącego porządku rzeczy, zyskiwałem wszędzie szacunek a nawet życzliwość reprezentantów systemu rządowego w naszym kraju. Pułkownik Gołubow, który był jeszcze naczelnikiem wojennym powiatu Sandomierskiego za czasów powstania, okazywał mi szczerą życzliwość i uznanie przy każdej sposobności.

Również komisarz włościański pan Głuszkow okazywał mi zawsze szczerą życzliwość. Wiedział on, że jeżeli potrafię wyzyskiwać obecny system rządowy do podniesienia moralnie chłopa, to potrafię także wystąpić w jego obronie w granicach dozwolonych przez prawo. A nie myślcie, żeby moje zadanie od pierwszego roku spoczywało na różach. Gdy przyszły pierwsze wybory do sądu gminnego, podług nowej ustawy, kandydatem rządowym był pan Wasyli Petrow, właściciel donacyi Osieckiej. Człowiek ten mógł mieć wszystkie kwalifikacye, oprócz jednej, t. j. oprócz kwalifikacyi do reprezentowania powagi sprawiedliwości w pośród ludu. To też widząc zagrożone moralne interesa tego ludu, nie wahałem się jawnie i głośno wystąpić przeciwko tej kandydaturze w obecności pana komisarza włościańskiego Głuszkowa, zaznaczając wyraźnie, że sprzeciwiam się tej kandydaturze nie dla tego, że pan Petrow jest Rosyaninem, ale dla tego, że nie ma przymiotów potrzebnych sędziemu. Moje wystąpienie nie pomogło. Wybrano sędzią pana Petrowa.

W parę miesięcy potem pan Petrow denuncyował mnie przed gubernatorem Radomskim panem Anuczynem,

że ja chłopom miałem mówić, żeby go nie wybierali bo on »Moskal.« Wtedy obecny Pan Głuszkow stanął w mojej obronie, świadcząc, że to fałsz, że występowałem przeciwko osobie a nie przeciwko narodowości kandydata. Pan Głuszkow wiedział dobrze, że miałem słuszność, a z czasem przekonano się także o tem i wyżej.

Gdy po piętnastoletnim pobycie w Sandomierzu miał odjeżdżać na nową posadę na Kaukazie, prosił mię on bardzo, żeby go odwiedzić tam i poznać ten ciekawy kraj. »Przeżyłem tu lat piętnaście« — rzekł do mnie — »na tutejszym cmentarzu leży moja żona i dziecko, ja chciałbym nie zrywać stósunków z tym krajem.« »Ale ja jestem« — dodał — »prawdziwym Moskalem, więc życzyłbym sobie mieć stósunki tylko z prawdziwymi Polakami.« Nie wyjechał jednak na swoją posadę, bo śmierć mu przeszkodziła.

Podczas wojny 1877-mego roku, chłopi roznosili o mnie niewiedzieć jakie fantastyczne opowieści. Każde moje odwiedziny w dalsze sąsiedztwo, było illustrowanem jakiemiś nieokreślonemi wieściami, że jeździłem z czterema rycerzami na białych koniach po tajemniczych borach świętokrzyzkich i tym podobnemi baśniami. Nie było dnia, żeby żandarmi nie chodzili po mieszkaniach moich służących i nie gromadzili tych niedorzecznych wiadomości. W tem wszystkiem widziałem jedną tylko rzecz, to jest zachwianie mojej powagi u ludzi, którzy mi podlegają i mój chleb jedzą. Pojechałem więc do ówczesnego naczelnika powiatu pana Michaleńki i oświadczyłem mu, że nie mając nic a nic do ukrywania, pędząc swoje życie w oczach wszystkich, bo prawie cały dzień na koniu przy robotach, proszę go, żeby dał mi do domu stałego żandarma, ale nie demora-

lizował mojej służby, nie zachwiewał mojej powagi, śledząc mię jak złoczyńcę przez moich służących. Pan Michaleńko wymawiał się, powiedział mi, że wie doskonale, że to wszystko są baśnie i od tego czasu miałem nie tylko spokój, ale co więcej, stanął on także w mojej obronie, gdy w parę lat później podobne niedorzeczności powtórzyły się z innej strony, już nie od chłopów.

To też idąc drogą jawną szczerości, pracy i prawdy, zdobyłem sobie wreszcie zarówno szacunek Rosyan, jak w końcu miłość i bezwzględne zaufanie ludu, którego z pewnością nie nadużyję nigdy dla zachwiewania w nim pojęcia władzy, dla osłabiania w nim obowiązków względem rządu, jednem słowem, do sprowadzania go z drogi prawa i porządku; jak również nie będę się starał nigdy o zaufanie rządu, ani ludu, ani moich rodaków, głusząc w sobie lub w nich głos sumienia i prawdy.

Zyskiwałem ich życzliwość i szacunek, wiedzieli bowiem, że w sercu mojem nie ma zdrady, wiedzieli, że zamiast krzyczeć, że pod rządem rosyjskim nic robić nie można, lub bawić się w niedorzeczne propagandy uczuć patryotycznych między ludem, zamiast wdawać się w polityczne intrygi, ja wolałem znosić z chrześciańską rezygnacyą straszny system rządowy, wylęgły z uczucia nieprzebłaganej zemsty i zawiści względem polskiego narodu; a w zamian korzystałem ze zdrowych pierwiastków, które przecież tu i owdzie w tym systemie tkwiły, dla stworzenia sobie z nich, na tle obecnego porządku prawnego, warsztatu do społecznej pracy. W ten sposób zamiast walczyć przeciwko rządowi, ja szedłem, że tak powiem, nietylko z nim, ale nawet na jego przodzie, bo uwydatniałem czynem te świetlane punkta rządowego systemu, które stanowiły jego okrasę,

zbierałem skrzętnie te ziarna prawdy, które wzbudzały nadzieję lepszej, sprawiedliwszej przyszłości.

Takim pierwiastkiem n. p. jest niewątpliwie dążność rządowa do protegowania ludu wiejskiego. Że twórcy tej idei wysunęli ją w części z fanatyzmu socyalnego, a w najznaczniejszej części z politycznej tendencyi rozdwojenia ludu z dziedzicem, o tem ani na chwilę nie wątpię. Ale wypisawszy dobro ludu na sztandarze »reform« Królestwa Polskiego, czyż mogli przeszkadzać dziedzicowi popierania tej wzniosłej myśli w zakresie obowiązujących praw? Nie mogli, tem bardziej, że mam przekonanie, że hasło to, które w ich ręku było hasłem rozbudzania zawiści społecznych, było podniesionem szczerze przez cesarza Aleksandra II-go, i szczerze dalej dzierżonem przez jego następcę. Po kilku więc latach pracy przyszedłem do silnego przekonania, które bieg czasu z każdym dniem więcej utwierdzał we mnie, że tylko w szczerej chrześciańskiej pracy i miłości tkwi klucz do zgodnego i uczciwego rozwiązania kwestyi rosyjsko - polskiej.

Jeżeli naród attakowany na polu społecznem chce się intrygą polityczną ratować od zguby, to robi on zupełnie tak, jak wódz, który napadnięty w swoim kraju przez przemożnego nieprzyjaciela, zostawia mu go na pastwę, a sam umyka na dziurawy okręt i szuka nieprzyjaciela po oceanie.

Modlitwa i praca oto dwa środki do utrzymania siły i zdrowia życia społecznego. Pod modlitwą jednak nie rozumiem samego tylko pacierza, ale także każde otwarte stwierdzenie prawdy.

A więc przedewszystkiem stwierdzenie prawdy objawionej, a więc silne, niezachwiane stanie przy prawdzie katolickiego Kościoła Chrystusowego. Polak, coby

o tym zapomniał obowiązku, nietylko grzeszy przeciwko Bogu i zbawieniu swojej duszy, ale musi się równocześnie narazić i rzeczywiście naraża się na pogardę samychże Rosyan, bo gubiąc przyszłość swojej ojczyzny, opóźnia jednocześnie rozwój chrześciańskiej cywilizacyi, opóźnia chwilę, w której zupełny pokój i zgoda zapanuje między dwoma narodami. Ale biada Polakowi, który się poważa z powszechnego Kościoła Chrystusowego robić narzędzie, czy to swojej polityki, czy swojej zawiści narodowej, czy wreszcie narodowych swoich pretensyi. Biada Polakowi, który kompromitując czysto Boską, czysto duchową potęgę Kościoła katolickiego, tamuje przez to w Rosyi wszelkie dążenie do prawdy wiary. Ten bowiem obdziera Kościół Chrystusowy z najgłówniejszej, istotnej jego cechy: z powszechnej miłości, kto robi zeń narzędzie narodowych ambicyi i zawiści. Ten tak samo kłamie wiarę w Chrystusa, jak ją kłamią wszystkie narodowe kościoły odszczepieńcze, które pod osłoną bagnetów podejmują się wydzierania bezbronnym ich wiary, ich języka i ich narodowości.

Modlitwą jest także danie świadectwa prawdzie, gdy chorobliwe pretensye narodowe dążą do celu niemożliwego do osiągnięcia.

Takim celem od stu lat była dla narodu polskiego idea niepodległości. Sto lat dowiodło, że ciężar niemożliwy dla nas do podniesienia. Czyż człowiekowi, któryby ciągle bezskutecznie się wysilał, żeby udźwignąć ciężar dziesięciocentnarowy, nie ma się prawa i obowiązku powiedzieć: nie wyczerpuj twoich sił daremnie, bo ani dziś, ani jutro nie możesz go udźwignąć. Prawda, żeś go dźwigał przez dziesięć wieków, ale wówczas ważył on tylko pół centnara, od tego czasu nieustannie wzrastał i nie przestaje wzrastać.

A jednak dla tej utopii poświęcało się przez lat sto byt i rozwój narodowy! Dezorganizowano się spółecznie, bo fałsz, kłamstwo, apatyą i rozpacz wprowadzano w żyły polskiego narodu.

Jakże bowiem człowiek ma się oddać skutecznie, wytrwale i gorliwie codziennej swojej pracy, jeżeli ciągle czuje się na wydmuchu, jeżeli żyje pod ciągłem wrażeniem, że jutro może być albo milionerem, albo ostatnim z nędzarzy.

Idea niepodległości więc jest zabójczą już z samego względu na szkodę, którą wyrządza rozwojowi narodowemu. A cóż dopiero powiedzieć o ciągłym fermencie nieufności, jaki wprowadza w rządach, którym podlegamy. Prosta rzecz, że ideę tą, ten tylko z rządów może lekceważyć, który czując się za silnym, by się jej obawiać, uważa ją za wygodny środek do szachowania swojego sąsiada.

Innego znaczenia ta idea nie miała ani razu od stu lat i innego nie będzie miała. I kto nie chce naszego narodu podać na nieustającą igraszkę dyplomacyi europejskiej, kto ma wiarę w siłę narodową do dalszego rozwoju, ten, jeżeli nie na to chce siać, by jego potomkowie i on same tylko zbierali chwasty, musi zacząć od wdrożenia tej prawdy w naród. To nie jest bynajmniej kwestyą czysto teoretyczną, to jest kwestyą, z którą wiąże się zdrowy i rzeczywisty rozwój naszego narodu, z którą wiąże się możliwość zgodnego pożycia i wspólnej pracy z państwami, do których należymy. Ignorować może tą prawdę tylko ten, kto głosi teoryą, że:

»W zbrojowni politycznej, spisek zajmuje znaczne miejsce. Jako broń, jako środek do pewnych celów nieraz okazał się w różnych przedsięwzięciach skutecznym, w niektórych jedynym i niezbędnym« (II, 301).

Tylko wobec tej teoryi można zrozumieć zawieszenie na kołku »*najwznioślejszego celu niepodległości*« politycznej, a zrobienie tymczasowego celu z utrzymania bytu narodowego. W praktyce jednak zalecany ten sposób jest wręcz niemożliwym. Zdrada bowiem musi wpić się jak wąż w serce całego narodu, i musi zniszczyć moralną jego siłę, bez której nie może być mowy o rozwoju; musi wywołać wcześniej lub później spiski, które nie mogą mieć warunków wymaganych przez pana Koźmiana, a zato rozbudzają zawiść, muszą tamować zaufanie rządu, przeciw któremu są skierowanemi i pobudzać do coraz to gwałtowniejszej represyi. Lekceważyć w polityce wysiłki nad pozbyciem się »*niedościgłego*« a więc fałszywego ideału, równa się w rzeczach wiary, lekceważeniu kwestyi, czy źródłem religii chrześciańskiej jest objawienie, czy też mistycyzm żydowski.

Dla mnie praktyczna ważność kwestyi niepodległości stała się jasną jak słońce od blisko ćwierci wieku. Doszedłem do niej nie na podstawie abstrakcyi, ale na podstawie zastanawiania się nad całym ruchem 1863 roku, doszedłem do niej zaraz po pierwszych latach pracy społecznej, a utwierdziłem się w niej walką, którą przeprowadzałem w mojem sumieniu, dążąc do zgody przekonań z postępowaniem. Chcecie usłyszeć dlaczego rękami i nogami trzymacie się tego pustego ideału? Powiem wam, bo nie umiecie, bo nie chcecie stworzyć sobie celu możliwego do dosięgnięcia, bo takiego celu nie życzycie sobie, boście niezdolni do żadnej rzeczywistej pracy i dlatego potrzebujecie tej utopii na usprawiedliwienie waszego moralnego próżniactwa. Bo to niezawodnie, że łatwiej jest studentowi przyczepić na czapkę orzełka, i kazać mu śpiewać »Jeszcze Polska

nie zginęła,« jak zrobić z niego człowieka tęgiego, religijnego, z charakterem i siłą moralną. Łatwiej chłopa zawieźć do Lwowa i wprowadzić go do budy, w której płócienny Kościuszko i Bartosz Głowacki tłucze na śmierć płóciennych »Moskali,« jak zrobić go u siebie na wsi zamożnym i pracowitym swoim chłopem, a siebie jego panem.

Mówicie, że nie możemy wyrzekać się ideału niepodległości, bo któż może zaręczyć, że ta nie jest w widokach Opatrzności? Ależ zapominacie, że Bóg jednym tylko zaświecił ludzkości ideałem, a tym jest Bóg sam, a więc pewność życia przyszłego po śmierci, a zaufanie w Boskiej mądrości, sprawiedliwości i miłosierdziu tu na ziemi, i z niego płynące poddanie się się woli Bożej. — A wolą Bożą jest, by tu na ziemi zarówno człowiek jak społeczeństwo pracowało, a więc dla pracy tej obierało pole możliwe do dosiągnięcia ręką ludzką. Czy w wyrokach Bożych na przyszłość leży, żeby naród polski odgrywał wszechświatową rolę lub nie, tego tak samo nikt nie może przewidzieć, jak nie może przewidzieć, czy leży w nich kollektywizm pracy i wspólna własność. Ale to pewna, że kto z idei niepodległości politycznej robi najszczytniejszy cel dążeń narodowych, ten zaprzecza słowom Bożym, które polityczny ustrój każe nam uważać tylko za środek do pracy, za szatę, która zwietrzeje, a nie za najwyższy cel dążeń. A kto uznaje tą niepodległość za najwyższy cel wtedy, gdy sto lat klęsk i nieszczęść okazały, że ten najwyższy cel, jest najwyższym środkiem zniszczenia bytu narodowego, ten grzeszy zuchwale przeciwko Duchowi świętemu, zrzekając się pracy duchowej nad poznaniem praw, któremi Bóg tu na ziemi rządzi ludzkością. Stawiając niepodległość narodową jako dogmat,

jako najwyższy cel, uprawniliście w zupełności szaleńców przewrotu społecznego do postawienia kollektywizmu jako najszczytniejszego swojego ideału. Wartość tych dwóch ideałów jest zupełnie taką samą, i więcej powiem, że ostatni był koniecznem następstwem pierwszego, fałsz bowiem obdarty ze wszystkich podstaw prawdy i rzeczywistości, musi koniecznie rozpładzać fałsz, kłamstwo i szaleństwo w nieskończoność.

Jeżeli bowiem twierdzicie, że dlatego nie możecie wyrzekać się niepodległości, ponieważ Polska była niepodległą przez dziesięć wieków, to tak samo socyaliści mogą wam odpowiedzieć, że nie mogą wyrzekać się kollektywizmu, bo ten także istniał w ludzkości, podczas wędrówek ludów, a doskonalszy jeszcze jego wzór może stanowić niewolnictwo pogańskie i chrześciańska pańszczyzna, która ostatecznie była urzeczywistnieniem dążeń socyalistów, t. j. zbiorowej, przymusowej pracy ekonomicznej, kierowanej przez stósunkowo szczupłe grono ludzi inteligentnych.

Trzeźwe i rozumne postawienie bytu narodowego, jako wyłącznego celu dążeń narodowych, jako jedynej jasnej pochodni oświecającej przyszłość narodową, wymaga koniecznie wyrzeczenia się tego »najszczytniejszego« celu niepodległości, który był dla nas tylko błędnym ognikiem wodzącym nas po bagnach i topieliskach.

To wyrzeczenie się idei polskiej niepodległości, do urzeczywistnienia której trzeźwy rozum nie zdoła wskazać żadnych źródeł siły, usprawiedliwiających jej nadzieję, jest koniecznym wałem ochronnym przed niedościgłemi marzeniami i niedorzecznemi planami politycznemi. Kto przeszkadza budowie tego wału, ten czyni jak rolnik, opierający się odgrodzeniu się od Wisły, po-

mimo tego, że ta rok w rok niszczy plony jego całorocznej pracy i rujnuje nadto sam byt jego majątku, rwąc brzegi i zanosząc lotnym piaskiem jego pola; a opiera się budowie wałów, dlatego, gdyż nie chce się wyrzec nadziei dla siebie lub swoich potomków, że może ta naszych strumieni rodzica przecież kiedyś urodzajnym namułem pokryje jego grunta. Środka tu nie ma. Albo chcąc bronić się przed powodzią i piaskiem, trzeba wystawić wał i raz na zawsze wyrzec się nadziei namułu, albo też trzeba wyrzec się bytu i pocieszać się zwodniczą nadzieją, — niepodległej Polski bez Polaków.

Że dla mężów stanu z prawego brzegu Wisły było to polityką bardzo »mądrą« i praktyczną: niedopuszczać przez lat trzydzieści do zbudowania wałów na lewym jej brzegu i cały wir wody, piasku i mętów puszczać bez przerwy na Królestwo, zabezpieczając przez to swoje własne grunta, o tem ani chwili nie wątpię i nie wątpiłem.

Ale przed trzydziestu laty potrzebowaliście jeszcze idei niepodległości — w imię której włóczyliście sprawę polską po wszystkich kongresach, po wszystkich parlamentach i piśmidłach — do innego jeszcze celu. Rozsadzani ambicyą, żeby powetować klęskę, którejście doznali podczas powstania — gdy pomimo wszelkich waszych przewidzeń, trójcy waszej pod przewodnictwem pana Koźmiana nie udało się zmusić Europy do wojny za Polskę — postanowiliście powetować tą klęskę wtrąceniem Austryi w wojnę z Rosyą. Po niedługim czasie przekonaliście się, że to nie tak łatwo, jak się wam zdawało, ale rząd Austryi zasmakował w tym pionie, któryście mu włożyli w rękę, bo spostrzegł się, że to wyborny środek do utrzymywania ciągłego rozjątrzenia

pomiędzy Rosyą a Polakami. My nie możemy zmienić tej polityki, mówiliście, bo ona właśnie daje nam powagę w Wiedniu. Gdyby w Wiedniu nie widziano za nami całej Polski, to lekceważonoby nas sobie i do niczegobyśmy nie doszli. Dochodziliście więc do wpływu i znaczenia w Austryi i przez długie lata prowadziliście tą potworną politykę, która korzyści wasze okupywała ruiną i coraz to straszniejszym systemem tępienia wszystkiego co polskie w Królestwie, na Litwie i na Ukrainie. Oto był wasz »głęboki« rozum polityczny, ten rozum, wobec którego Wielopolski był — waszem zdaniem — niedoukiem.

Tymczasem nadszedł rok 1875, a z nim obudził się żywszy ruch myśli w państwie carów. Rosya przygotowywała się do akcyi w sprawie wschodniej.

W spółeczeństwie rosyjskiem zaczęły funkcyonować tak zwane komitety słowiańskie, a jednocześnie zaczęły odzywać się coraz to śmielsze głosy stronnictwa »europejskiego« za zgodą z Polakami. Zrozumiałem, że tendencya ta nie może się rozwinąć, jeżeli prasa i spółeczeństwo polskie w Galicyi nie przestanie ziać ogniem nieprzejednanej nienawiści do Rosyi, jeżeli nie zamilknie to niemądre wygrażanie się Rosyi, od cara Aleksandra II począwszy, a skończywszy na ostatnim kacapie.

Jeżeli dochodząc wówczas do moich przekonań na podstawie indukcyi, nie miałem jeszcze tego wyrobionego logicznego poglądu, do jakiego doszedłem przez dwadzieścia pięć lat doświadczenia, pracy i myślenia, to już wtedy widoczną dla mnie było rzeczą, że przyjmując rozwój bytu narodowego na drodze jawnej i legalnej, trzeba, żeby naród nasz stał się koniecznie czynnikiem rozwoju, a nie rozstroju w państwie, do którego

należy. Żądać od jakiegokolwiek państwa, żeby protegowało rozwój narodu, dążącego do jego rozsadzenia, byłoby prostem absurdum. Ponieważ więc naród, któregoby najszczytniejszym celem, jak chce pan Koźmian, była niepodległość, musi dążyć do rozsadzenia państwa, do którego należy, a więc cel niepodległości nie jest celem najszczytniejszym, ale jest instrumentem do zabicia w zawiązku wszelkiego bytu, a nawet istnienia narodowego. Wprawdzie pan Koźmian, który wynalazł genialną teoryą wieszania na kołku wszystkiego, co tylko mu chwilowo niedogodnem, który kazał nam wieszać na kołku logikę przy wydawaniu sądów historycznych, wieszać na kołku uczciwość i prawdę w działaniu politycznem, wieszać wreszcie na kołku wiarę w Boga w życiu spółecznem, nie waha się doradzać także narodowi powieszenia na kołku *najszczytniejszej* idei niepodległości i oddania się tymczasem wyłącznie celowi bytu narodowego. Ale to są szalbierstwa, które nikogo nie złudzą. Bo każdy wie, że jeżeli powiem synowi jedynakowi, że najwyższym twoim celem jest złożenie ślubów zakonnej czystości, ale tymczasem ożeń się, dla dania potomka rodzinie, to prosta rzecz, że przez to samo robię jego śluby niemożliwemi. Dla mnie i każdego człowieka, który umie myśleć, a nie powtarzać tylko za drugimi utarte frazesa, jest i było już wówczas rzeczą niezawodną, że jeżeli się chce, żeby każda część narodu polskiego, zostającego pod trzema rządami, mogła się rozwijać swobodnie, to każda musi zacząć od tego, żeby cel, czyli raczej hasło niepodległości wyrzucić przez okno, bo inaczej żaden z rządów nie będzie mógł pozwalać na prawdziwie poważny rozwój narodowy; a zresztą zawsze się znajdzie jakiś rząd usłużny, który to hasło w ten lub inny sposób zużyt-

kuje dla osłabienia lub pokrzyżowania polityki sąsiada. Otóż już wtedy było dla mnie jasnem, że Galicya prowadzi grę zupełnie podejrzanej wartości. Uzurpując sobie jakieś prawo moralnej i politycznej opieki nad całą Polską, biorąc na siebie nieproszona i niedziękowana rolę doktora, który się podjął lekarstwami kupowanemi w wiedeńskiej aptece, wyleczyć polityczne stósunki zakordonowych braci; postępowała sobie zupełnie tak, jak lekarz, któryby rozszerzał tyfus albo cholerę w sąsiednim domu, żeby módz samemu dobre zyski ciągnąć z protegowanych pacyentów. Nie wątpię, że dla lekarza polityka to bardzo mądra, że może mu przysporzyć środków do wspaniałego umeblowania swoich apartamentów. Ale czy równie dobrą miałaby być dla pacyentów? Czy wreszcie nie grozi niebezpieczeństwo, żeby wcześniej lub później epidemia nie wdarła się do domu samego doktora i w jednej chwili pozornego blasku nie zmieniła w ponurą grabarnią? Temi natchniony myślami, napisałem w r. 1875 artykuł, wykazujący, co Królestwo Polskie straciło przez upadek Wielopolskiego i jak nieszczęśliwy wpływ ma »Czas« i całe dziennikarstwo galicyjskie na Królestwo Polskie przez jątrzenie stósunków polsko-rosyjskich, dowodząc wreszcie, że konserwatywne stronnictwo dotąd nie może zyskać prawdziwego wpływu w kraju, dokąd nie będzie konsekwentnem i szczerem w swojem działaniu. Że więc nie powinno dać się dłużej łudzić narodowi widokami niepodległości, lecz wręcz tą utopią wyrzucić z frazeologii politycznych haseł, a dążyć do utrwalania całego polskiego społeczeństwa w tendencyi pracy organicznej, opartej w każdej dzielnicy o grunt rzeczywiście istniejącego tamże politycznego ustroju.

Przedewszystkiem zawiozłem ten artykuł do mojego ojca. W pierwszej chwili oburzył się tenże na zasadniczą myśl wyrzeczenia się niepodległości, a nawet na myśl szukania zgody z Rosyą. Po dłuższej jednak dyskusyi, rzekł mi: »A no zresztą uznaję, że wy dziś jesteście w zupełnie innych warunkach, jak myśmy byli za naszych lat młodych, uznaję, żeśmy szli w najlepszej wierze po błędnej drodze, że dziś inne są warunki bytu narodowego i że trzeba teraz szukać dróg innych, chcąc życie narodowe utrzymać. Proszę cię jednak, skoro to chcesz drukować, zaznacz dobitnie stanowisko swoje względem Rosyi pod względem katolickiej wiary, żeby kto nie mógł przypuszczać, że ty może pochwalasz gwałty chełmskie świeżo popełnione na unitach«. Siadłem zaraz i dopisałem trzy wiersze, nie pozostawiające najmniejszej wątpliwości pod tym względem i mój ojciec zgodził się, żebym ten artykuł zamieścił w »Przeglądzie Polskim«. Uradowany pobiegłem do Stanisława Tarnowskiego z bijącem sercem, ale prawie z pewnością, że ludzie redagujący »Przegląd Polski«, w którym nie tak dawno prowadzili walkę na noże z konspiracyą, tajnością i t. d., którzy głosili jawność i legalność pracy narodowej za pierwszy warunek jej powodzenia, przyjmą mię z otwartemi rękami, jako człowieka zaciągającego się szczerze pod ich sztandar, a wyprowadzającego tylko konieczne logiczne konsekwencye z ich systemu i żądającego rozciągnięcia tych zasad na Królestwo Polskie. Wtedy nie postało mi jeszcze w głowie, że rozum i jego logikę trzeba zawieszać na kołku, zarówno jak szczerość i uczciwość polityczną, chcąc z nimi iść ręka w rękę. Jeżeli więc o co się obawiałem, to tylko o wartość stylistyczną tego pierwszego w życiu artykułu. Tarnowski przeczy-

tał go i mocno zaambarasowany powiedział mi, że w »Przeglądzie« umieścić tegoby nie mógł, bo krytykuję »Czas«, a oni są z »Czasem« w dobrych stósunkach, zresztą są to rzeczy przeciwne ich kierunkowi; radzi zaś mi, że jeżeli koniecznie chcę w tym duchu pisać, żebym artykuł rozszerzył, napisał gruntowniej i wydał sam w osobnej broszurze. Odpowiedziałem, że na występowanie samemu uważam się za młodym, nie czuję w sobie jeszcze do tego dostatecznej powagi, że myślałem, iż znajdzie się dla mnie miejsce prostego żołnierza pod ich sztandarem. Do szlif. generalskich nie miałem najmniejszej pretensyi, a tem mniej do naczelnictwa partyzanckiej ruchawki.

Tak więc od pierwszej chwili przekonałem się, że ludzie ci głoszący drukiem miłość prawdy, jedną tylko umieją dać radę, jeżeli ta prawda im niedogodną lub niemiłą, a tą jest: »idź luzem«.

Schowałem mój artykuł do kieszeni i poszedłem ze ściśniętem sercem, nie dla urażonej ambicyi autorskiej, ale z powodu cisnącego się do mojego umysłu przeświadczenia, że ci ludzie, których brałem za przedstawicieli poważnej opinii, kierowanej miłością prawdy, wiary i ojczyzny, są poprostu fabrykantami formułek, których boją się dotknąć, żeby cała nie rozleciała się szopka. — Dzisiaj widzę jedno tylko, że myśl moja podniesiona w Krakowie dwa lata przed wojną wschodnią, mogła mieć na rozwój polsko-rosyjskich stósunków nader ważne znaczenie, gdyby była gorąco popartą przez poważną prasę galicyjską.

W owym czasie byłem jeszcze bardzo naiwnym, nie mogło mi się w głowie pomieścić, żeby ambicya i próżność mogły być głównym motorem działania u takich ludzi n. p. jak Stanisław Tarnowski. Dzisiaj

wiem, że nie jego ambicya, nie jego próżność była tu w grze, ale był on pod wpływem ambicyi i próżności człowieka, który kierował jak chciał jego wolą i działaniem. Dlaczego Leszek II został królem polskim? — bo pierwszy dojechał do mety, oszukawszy swoich towarzyszy. Dlaczego pan Koźmian przez lat trzydzieści wodził za nos tak prawego człowieka jak Tarnowski, taką głęboką inteligencyą jak Szujskiego? Bo pierwszy 3-go lutego przyjechał do Krakowa i pierwszy się zawinął, żeby urządzić to wstrętne widowisko krwi, czyli, jak się wyraża, tą »*zbrojną demonstracyą*« (I, 18, 6), którą z zimną krwią i czystem sumieniem »*przedłużał*« dotąd, dokąd w Warszawie nie powiesili ostatniego amatora na objęcie naczelnictwa rządu narodowego, dokąd ostatniemu uciekinierowi nie odeszła ochota do dalszych spacerów, między Galicyą a Królestwem.

Może pan Koźmian rzucać ludziom w oczy piasek czystości swoich zamiarów, swoich poświęceń i swoich rozpaczy, ale to niemożliwem, żeby on i jego towarzysze nie musieli sobie powiedzieć przynajmniej w głębi swojej duszy: zawiniliśmy jeszcze więcej względem kraju jak czerwoni, bo czerwoni nieśli poświęcenie, zapał i ofiarę, my kłamstwo, krew cudzą i przedłużanie w nieskończoność powstania, uzasadnione chyba tylko chęcią odwleczenia jak najdalej chwili powiedzenia sobie, że »wpakowaliśmy kraj w otchłań bez wyjścia, bez najmniejszej korzyści, i rzuciliśmy sprawę narodową na pośmiewisko i wzgardę Europy«. Zwykła to kolej rzeczy, że gracz, co przegra ostatni grosz, widzi jedyną deskę zbawienia w dalszej grze, chociażby na kredyt, chociażby na lichwę. Nie udało się wam z kłamstwa bicza ukręcić przez emigracyą, popróbowaliście kręcić go jeszcze przez Austryą. A nuż się to uda, wtedy powetu-

jemy naszą przeszłą porażkę. To kłamstwo, które było głównym łącznikiem między panem Koźmianem a przyjaciołmi, stało się teraz kulą u nogi dla tych ostatnich, trzymało ich ono w jego niewoli, w podobny sposób, jak zbrodnia spajająca wspólników karygodnego czynu.

Tak więc papierowa konspiracya skupiła się od pierwszej chwili około »Przeglądu Polskiego«, obiecując narodowi wywalczyć mu Polskę za pomocą Austryi. Tymczasem spostrzegli oni groźnego rywala. Grono uciekinierów z rządu Warszawskiego, należących po większej części do grupy wichrzycieli Ignacego Chmieleńskiego i Mierosławskiego, znalazło się także na bruku krakowskim i zrozumiało doskonale, że jeżeli natychmiast nie zorganizuje się na nowo, jeżeli nie uda mu się utrzymać w społeczeństwie bezustannej agitacyi i głupoty, to oczywiście, zostanie ono przez zdrowy zmysł narodu potępionem i zmuszonem do pędzenia w osamotnieniu i sromocie reszty dni swoich. — Tak więc w chwili, gdy Królestwo jak najusilniej żądało tylko pokoju i pracy, w Galicyi odrazu stanęły naprzeciw siebie dwie exkonspiracye i wystąpiły do zaciętej między sobą walki. — Zaczęła się między nimi licytacya in plus patryotyzmu t. j. głoszenia nienawiści i krucyaty przeciwko Rosyi.

XIX.

Skutki tej patryotycznej rywalizacyi zaczęły się ukazywać w całej swojej grozie podczas wojny turecko-rosyjskiej 1877 roku. Podczas gdy exspiskowcy nawiązali traktowanie z Anglią o utworzenie legionu polskiego przeciwko Rosyi, exemigrancka dyplomacya bióra prasowego nie traciła czasu i rozwinęła gorączkową dyplomatyczną ruchliwość, by z jednej strony »podnieść

ducha« w narodzie, z drugiej zaś wyżebrać u Europy poruszenie sprawy polskiej.

W tym to czasie właśnie byłem u pana Michałeńki, naczelnika powiatu Sandomierskiego, w sprawie śledzenia mię przez żandarmów. Otóż pan Michałeńko wysłuchawszy mię, powiedział, że nie wątpi, a nawet wie o tem, że nie mięszam się do żadnych machinacyi, ostrzega mię jednak, że spiskowe roboty rozpoczęły się już nawet w naszym powiecie. Na moją protestacyą, że to niepodobieństwem, żyjąc bowiem z całem sąsiedztwem, musiałbym cośkolwiek o tem słyszeć, — odpowiedział: »Zaręczam za to, mógłbym nawet zacytować nazwiska osób, które są już wmięszanemi do tej nowej konspiracyi, ale panowie kraj kochający, powinniście działać przeciwko temu z jak największą energią, bo to sprowadziłoby straszne nieszczęście na Królestwo; rząd nie obawia się ruchu, nie potrzebuje nawet wojska do jego stłumienia, ale mógłby się tu powtórzyć rok 1846-ty«.

Zanadto dobrze znałem już kraj i jego stósunki, żebym miał aby na chwilę przypuścić, że konspiracya mogłaby znaleść jakiekolwiek u nas pole do działania. Ale czy kilku szaleńców, oparłszy się o zagrożoną głodową śmiercią kastę urzędników spadłych z etatu po roku 1864-tym, nie dałoby się popchnąć do jakiego rozpaczliwego kroku i popsuć zaledwie nawiązujące się lepsze stósunki dziedzica z ludem, które jednak podówczas na bardzo jeszcze wątłej spoczywały podstawie, tego oczywiście, że nie mogłem być pewnym, tem bardziej, że z temi sferami żadnych nie miałem stósunków.

Pod tem wrażeniem grozy wiszącego nad krajem nieszczęścia, przyjechałem do Krakowa. Zaraz w pierwszym »Czasie«, który mi wpadł w ręce, wyczytałem

następujące słowa we wstępnym artykule z dnia 25-go listopada 1877 r.:

»Praktycznie nie było dotąd sposobu wyzyskania na korzyść Polski wypadków«... »Dotąd niema żadnego powodu opuszczenia tego zdaniem naszem korzystnego, a nawet silnego stanowiska; przyjść jednak może chwila, podczas, czy w skutku dzisiejszych wypadków, *w której bierność nie będzie już odpowiadać ani polskim obowiązkom, ani polskim interesom*«.

Ustęp ten był logicznem rozwinięciem poprzedniego artykułu wstępnego z dnia 16-go października 1877 roku, w którym pouczano nas, że:

»cierpiących za kordonem, ryzykować, losu ich pogorszać, możliwej poprawie jego w niczem przeszkadzać nie wolno. Wolnoby było w jednym wypadku: *krocie bagnetów naprzód, a po za ich świecącą linią wszystko, co może rozum i zapał*«...

Przerażony pobiegłem do pana Józefa Szujskiego i przedstawiałem mu gorąco, że w ten sposób drażniąc naród przeciwko Rosyi, a Rosyą przeciwko narodowi, gotuje mu się nieobliczone klęski, a w każdym razie przeszkadza się wszelkiej zgodzie, a więc pracuje się nad utrzymaniem systemu tępienia naszej narodowości i nad przeszkadzaniem ciężkiej społecznej pracy, której jesteśmy oddani. Pan Szujski wpadł w natchniony zapał, w którym podniosłemi słowy przedstawiał mi, że »to darmo, Polacy nietylko tem grzeszyli, że się rwali nie w porę, ale jeszcze więcej tem, że nie korzystali z rzeczywistych sposobności, nadarzających się do skutecznego podniesienia sprawy narodowej«. Przyznaję się, że szczery zapał mowcy zrobił na mnie wrażenie. Milczałem chwilę jakby zawstydzony, robiąc ze swojem sumieniem krótki obrachunek uczuć patryotycznych. Stanęła przedemną myśl: »czyżby rzeczywiście we mnie,

synu Piotra i bracie Emanuela Moszyńskiego, miała tak oziębnąć prawdziwa miłość ojczyzny, że już przestałem być wrażliwym na potężny jej płomień?« Ale sumienie moje prędko mi odpowiedziało, że nie poświęca się patryotyzmu czynu, dla patryotyzmu frazesu, że nie naraża się związku ludu polskiego z polską szlachtą, że nie poświęca się istnienia i bytu narodowego dla czczych politycznych widoków. Zacząłem więc znów ja z zapałem odpowiadać panu Szujskiemu, zacząłem go przypierać do muru, kończąc wreszcie pytaniem: »czy chcecie naród prowadzić jawną drogą pracy organicznej, lub nie? A jeżeli tak, dlaczego pracujecie nad odcięciem tej drogi Królestwu Polskiemu, stanowiącemu sam rdzeń polskiego narodu? Dlaczego pracujecie nad tem, by w nieskończoność utrzymywać tam system zawiści i wynarodowienia? Wtedy powiedział mi Józef Szujski te pamiętne słowa: »Masz pan słuszność, ale darmo, dziś u nas w Galicyi nastały takie czasy, że gdyby »Czas« przynajmniej co kilka tygodni nie umieścił artykułu rozbudzającego szersze polskie nadzieje, to trzech dni nie mógłby się utrzymać«. Odpowiedziałem, że w takim razie, jeżeli stronnictwo ludzi rozumnych i uczciwych może tylko wpływ swój wywierać, kłamiąc wbrew swojemu sumieniu, przekonaniu i prawdzie, to jest ono i tak skazanem na zagładę. Wtedy to po raz pierwszy przekonałem się, że

> »w zawodzie dziennikarskim potworną jest potrzebą brać w rachubę przy najważniejszej sprawie publicznej wzgląd na dobro dziennika, nie zawsze na dobro materyalne, ale na jego wpływ i znaczenie« (Rzecz o roku 1863, t. I, str. 114).

Wojna wreszcie ustała. Kongres berliński dał hasło panu Koźmianowi i spółce do wyciągnięcia z błota

łachmanów sprawy polskiej i porzucenia ich znowu na wzgardę i pośmiewisko dyplomacyi europejskiej.

»Dla siebie, dla ojczyzny, dla prawdy, dla honoru i sumienia« — woła Stanisław Tarnowski w sierpniowym »Przeglądzie Polskim« z r. 1878 (str. 289) — dla przestrog tych biednych oswobodzonych Słowian, dla zawstydzenia tych wszystkich innych, dlatego, żeby się siebie samych i Boga samego nie zaprzeć, trzeba było, w tej stanowcze chwili, trzeba było koniecznie, dać znak życia i przemówić czy będą słuchali czy nie.«

Nie wierzyłem bynajmniej, aby z kwestyi wschodniej w 1878 r. mogła wyniknąć »sprawa polska,« ale przypuszczałem bardzo, że może się wywiązać sprawa austryacka. Otóż zarówno uczucie jak sumienie moje mi mówiło, że jeżeli nie mam ze swoich uczuć i przekonań zrobić takiego kłamliwego komedyanctwa, jak moi przeciwnicy, to w razie wojny, w której się będą ważyły przyszłe losy całego cywilizowanego świata w której będzie się rozgrywała kwestya istnienia Austryi, której jestem obywatelem, nie mam prawa pozostać na uboczu i dlatego postanowiłem wstąpić do wojska austryackiego, mając lat 31, by w razie wojny dać wyraz swoim konserwatywnym i austryackim przekonaniom nie w jątrzeniu poddanych rosyjskich przeciwko ich rządowi, ale stając przed frontem galicyjskich chłopów i idąc z nimi w bój na nieprzyjaciela mojego cesarza, bez względu na to, czy ten zagroziłby bytow Austryi od wschodniej czy od zachodniej granicy.

Wstąpiłem więc do wojska w roku 1878. Robiąc to, miałem tylko jeden cel, a tym jest zyskanie świadomości, że jestem członkiem rzeczywistego, żywego organizmu politycznego i zyskanie możności poświęcenia się w razie potrzeby za ten żywy społeczny

organizm, którego głowie, którego cesarzowi Galicya powiedziała, że przy nim stać chce i stać będzie.

Wisieć w nieskończoność w powietrzu pośród ludzkości nie może ani żaden naród, ani żadne zdrowe serce i sumienie. Albo jest się członkiem jakiegoś politycznego ustroju, albo robakiem wylęgłym w trupiarni, który ten ustrój toczy i rozkłada. Środka w tem nie ma i być nie może.

Przekonałem się jednak raz więcej, że każdy czyn oparty na prawdzie uczuć i sumienia, stokrotne zawsze wydaje plony. Anim przypuszczał, że ten jeden rok ochotniczej służby wojskowej stanie się dla mnie kluczem do odcyfrowania rzeczy, które przeczuwałem, ale których nie znałem dotąd. Mam tu na myśli zrozumienie polityki austryackiej i stanowiska Galicyi w Austryi. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że kto myśli, iż zna stósunki polityczne państwa, nie zajrzawszy za kortynę jego wojskowości, jego bojowej gotowości, ten łudzi się; ten buduje poprostu zamki na lodzie. Skoro bowiem głównym ziemskim celem państwa jest zabezpieczenie moralnej i ekonomicznej pracy spółecznej, to prosta rzecz, że główna waga państwa musi spoczywać zawsze w rozwoju jego sił militarnych, które ciągną dziś soki ze wszystkich najskrytszych arteryi życia spółecznego. Dlatego też militaryzm państwa można śmiało uważać za miernik rozwoju cywilizacyjnego państwa.

Odbywając służbę wojskową w Wiedniu, miałem sposobność przekonania się, że w armii tkwi główne poczucie patryotyzmu austryackiego, które oparte na przywiązaniu do tronu i cesarza, potrafi utrzymać ideę jedności, pomimo westchnień czeskich Niemców do berlińskiego księżyca lub pomimo wydzierającego się nieraz z piersi Kroatów hymnu: »Boże Cara chranij.«

Tu przekonałem się, jaką ważną rolę mogliby zająć galicyjscy Polacy w Austryi, gdyby równie jak Węgrzy lub konserwatywni Niemcy austryaccy zechcieli zająć poważne stanowiska w armii i stać się jednym więcej pierwiastkiem jej siły i jedności.

Tu również miałem sposobność przekonania się, że nikt na świecie, z wyjątkiem Polaków nie życzyłby sobie wzmocnienia polskiej reprezentacyi w wiedeńskim parlamencie, i że z tego powodu nikomu się nie śni w Austryi o podniesieniu sprawy polskiej. Miałem nawet sposobność usłyszeć z ust jednego z ówczesnych centralistycznych ministrów, że najszczęśliwiej byłoby i dla wewnętrznych stósunków Austryi i dla Polaków, gdyby Galicya odpadła do Rosyi!

Tu przekonałem się, że kwestya polska dla Austryi ma tylko dwojakie rzeczywiste znaczenie, a mianowicie zyskanie głosów polskich do uchwalania coraz to gwałtowniej wzrastających budżetów wojskowych i trzymanie na wodzy Rosyi, t. j. niedopuszczanie do zgody między zakordonowymi Polakami a Rosyą.

W czasie też mojej bytności w Wiedniu, dokonał się wielki przewrót w życiu parlamentarnem wiedeńskiem, który przekonał mię, że ta wielka sławiona mądrość galicyjskich mężów stanu, polegała poprostu i wyłącznie na głupocie politycznej większości centralistów niemieckich. Gdyby ci zrozumieli byli konieczność zajęcia Bośni i Hercegowiny dla dalszego życia i bezpieczeństwa Austryi, i gdyby byli głosowali za budżetem, to oczywiście polska opozycya byłaby głosowała przeciwko niemu, skoro za nim głosowała wbrew swojemu przekonaniu, tylko dla zwalenia liberalnego gabinetu. Przyznawała się delegacya nasza otwarcie do tego, że jej przekonania o interesach Austryi są zupełnie inne

jak jej głosowanie. Jeszcze w grudniu 1877 roku powiedział pan Grocholski, prezes Koła polskiego, że:

»zdobycie którejkolwiek części państwa tureckiego, chociażby samo w sobie korzystne, nie przywróciłoby bynajmniej równowagi europejskiej na korzyść interesów austryackich; było to więc sprzedać swe prawa za miskę soczewicy« (»Czas« z 14 grudnia 1877).

Tenże sam czcigodny prezes Koła polskiego mówił w marcu 1878 roku w delegacyach, że:

»jeżeli wtedy zapytacie mię panowie, gdzież, jeżeli nie na półwyspie Bałkańskim wypadałoby starać się o przywrócenie zburzonych stosunków potęgi w interesie monarchii austro-węgierskiej, nie zawaham się odpowiedzieć: nad Wisłą! — w krajach, przezwanych z urzędu zachodniemi caratu rosyjskiego guberniami« (»Czas« z 23 marca 1878).

To wszystko przekonało mię o nader kruchej podstawie stanowiska Polaków w Austryi, polegającej jedynie, albo tylko na głupocie innych stronnictw, albo na własnej, pozwalającej na to, by używano naszego narodu jako chusty czerwonej, przeznaczonej do drażnienia wściekłości rosyjskiego byka.

W dniu 19 sierpnia 1879 roku umarł mój ojciec. Kilka dni przed śmiercią zalecał mi bardzo, żebym się starał wejść w życie polityczne Galicyi. — Na pogrzebie jego nie brakło niczego, była i straż ogniowa z panem Eminowiczem na czele, były i dziady z dobroczynności, był też i pan burmistrz miasta Krakowa z wieńcem, były też i strzały z moździerzy w Strzeleckim ogrodzie, był wreszcie i panegiryk w »Czasie« rzucający potwarz na Bibikowa. Ale też i na tem skończył się obrachunek narodu z człowiekiem, który 79 lat życia poświęcił tylko dla ojczyzny, który przed

żadnem nie cofał się poświęceniem, a który jedno tylko miał pragnienie, by ten kraj zrobił skromne miejsce w życiu politycznem dla jedynego syna, dla jedynego dziedzica jego tradycyi.

W październiku wystąpiłem z wojska i postanowiłem skorzystać z pierwszej sposobności, by wejść w życie publiczne. Czułem w umyśle swoim jasność a w duszy siłę, którą daje prawda. Wiedziałem, że zebrane w ostatnim roku doświadczenia mogę zużytkować z prawdziwym pożytkiem, zarówno dla kraju, jak dla ogólnego rozwoju narodowego i dla samejże Austryi. Wiedziałem, że prostą i najlepszą drogą do wywierania wpływu, jest zaprzęgnięcie się do wspólnej pracy.

W jesieni zawakowała posada posła do Rady państwa z okręgu Wielicko-Krakowskiego. W pierwszej chwili zdawało mi się, że pomyślna gwiazda mi świeci. Zaledwie wszedłem do Pana Pawła Popiela, ten, sam pierwszy zaczął mię namawiać do przyjęcia kandydatury, a gdy usłyszał, że się na to godzę, polecił mi, żebym przedewszystkiem udał się do pana Zyblikiewicza i Artura Potockiego. Pana Zyblikiewicza zastałem samego w kancelaryi, opowiadam mu powód mojego przybycia, dodając, że chciałbym przez to spełnić gorące ostatnie życzenia mojego ojca. Ten przyjął mnie tak mniej więcej, jak po 1863 roku przyjmowali w Królestwie przejezdnych pomocnicy naczelników wojennych. Nie prosił mię nawet żebym usiadł, ale powiedział: »mamy innego kandydata«. Byłem tem przyjęciem wzburzony do najwyższego stopnia, ale nie chcąc zaczynać pierwszych prób parlamentaryzmu od zrobienia awantury burmistrzowi i exczłonkowi rządu narodowego, zakręciłem się na pięcie i wyszedłem. Poszedłem

do Artura Potockiego, ten jednak oświadczył mi, że chce przeprowadzić wybór p. Koźmiana, to bowiem bardzo jest ważnem dla powagi »Czasu«. Dałem za wygrane. W kilka dni potem poszedłem do jednego z moich przyjaciół, zajmującego bardzo poważne stanowisko w życiu politycznem Galicyi, który przyjmuje mię zapytaniem: »Dlaczego pan nie chcesz kandydować?« Odpowiedziałem, że »dlatego, bo komitet wyborczy mnie nie chce i postawił kandydaturę p. Koźmiana«. »Ależ to źle, bo p. Koźmian w żaden sposób nie przejdzie i zostanie wybranym ksiądz Gołda. Niech pan koniecznie kandyduje, zaręczam za skutek, mam już zgodę na pana, ze strony osoby rozporządzającej prawie wszystkiemi głosami w Wielickiem«. Odpowiedziałem, że jako kontrkandydat komitetu nigdy nie wejdę do reprezentacyi kraju. Synowi Piotra Moszyńskiego wolno do niej wchodzić tylko drzwiami a nie oknem. A jeżeli dla niego nie ma miejsca pomiędzy posłami, to potrafi on i tak znaleźć sobie pole do pożytecznej dla kraju pracy. Przekonałem się więc, że muszę zacząć działać sam na własną rękę.

XX.

Tak jest. Gdy lat dziewiętnaście temu pracując ciężko na tej ziemi, którąście podali na pastwę rozjuszonej zemście rosyjskiej, przyszedłem do Was, ufając Waszej dobrej wierze, a wierząc, że chcecie szczerze pracować nad wprowadzeniem *całego* polskiego narodu na drogę porządku, prawa i jawności, rzuciłem Wam pierwsze myśli ostrzegające przed tym systemem wielkiej politycznej akcyi, zasadzającej się na nieustającem drażnieniu i wyzywaniu Rosyi z po za bezpiecznego



murka galicyjskiego. Com od Was usłyszał?: »Idź luzem«, »drukuj sam« — tak samo jak dziś już słyszałem: »*drukuj w »Nowej Reformie*«. Przedstawiałem Wam, że czas nagli, nieszczęścia z każdym dniem się wzmagają, że trzeba uśmierzyć ten nieszczęsny prąd, który porwie z sobą aż do imienia polskiego, że za młody jestem, żeby iść sam, że chcę iść z Wami, że ludzie dobrej wiary zawsze mogą się porozumieć, a klęski spadające na kraj nie czekają. Nic nie pomogło. Zbrodnia moja była za wielką, poważyłem się krytykować »*Czas*«, z którym »*Przegląd Polski*« jest w przyjaźni! W lat cztery potem poszedłem za Waszą radą i puściłem sam swoje opinie polityczne w 1880 roku w chwili, gdyście z podartą przez Was w łachmany sprawą polską obwozili się po wszystkich kongresach, po wszystkich parlamentach europejskich, żebrząc dla niej bezskutecznie posłuchu; w chwili, gdyście Rosyą draźnili codziennie w »Czasie«, a co chwila w parlamencie wiedeńskim, wołając na wszystkie tony: »nad Wisłę!«. Wtedy p. Stanisław Koźmian wydał hasło pokrycia grobowem milczeniem wszystkiego, co wyjdzie z pod mojego pióra. Czas, żebyśmy się już obrachowali.

Gdy umarł Margrabia Aleksander Wielopolski, powalony przez Was o ziemię wraz z nieocenionemi reformami, które krajowi przynosił, rzuciliście się na niego w waszych piśmidłach z zajadłością godną lepszej sprawy, utrzymując, że wszyscy zawinili, ale Wielopolski zawinił najwięcej, bo nie szedł z duchem narodu, t. j. nie przyłączył się do spisku, bo draźnił naród kapeluszami, latarkami, krawatkami, i już sam nie wiem czem. Utrzymywaliście, żeście o wiele przewyższyli go w prawdziwej zdolności politycznej, bo tego, czego on nie zdołał przeprowadzić w Krolestwie, to Wy Waszym głę-

bokim rozumem dokonaliście w Galicyi. I śpiewaliście sobie jedni drugim pochwalne hymny waszej genialności politycznej na wszystkie tony. Genialną waszą polityką porwaliście nawet wówczas znakomitego męża stanu w Królestwie Polskiem, pana Stanisława Z., który dał wyraz swoim opiniom w »znakomitej« broszurze pod tytułem: »*Porozbiorowe aspiracye polityczne Narodu Polskiego*«. Wtedy spostrzegłszy całe niebezpieczeństwo, zagrażające Królestwu i jego pracy organicznej, przez szerzenie się w niem Waszych bezrozumnych planów i Waszych nieuczciwych podjudzań, wystąpiłem w 1882 roku z krytyką tej broszury w »*Kilku Słowach*«, które zakończyłem następującem wezwaniem:

»Pogrzebmy raz na zawsze tak zwaną w dyplomacyi »*sprawę polską*«, by polskie wskrzesić życie. Powiedzmy otwartym i skrytym nieprzyjaciołom naszym, że nie ma sprawy polskiej, że nie ma polskiej głupoty, że nie ma polskiego szaleństwa, że nie damy się dłużej na pasku patryotycznej frazeologii na własną prowadzić zagładę, powiedzmy, że żyje naród polski, który nie myśli własnemi zarzynać się rękoma, że żyje ten naród, z którym kiedyś w przyszłości świat musi obrachunek zrobić« (88).

Panie Stanisławie Koźmianie! czy nie lepiej, nie uczciwiej było podówczas nie dusić moich myśli milczeniem, lecz otworzyć nad niemi dyskusyą, oswoić z niemi polską opinią publiczną, jak dopiero dziś, po latach wielu przemycać tą samą, moją myśl w »*Rzeczy o roku* 1863«, głosząc, że »*utrzymanie bytu narodowego musi się stać celem dla siebie i stać się siłą ożywczą*« (II, 7); czyż nie lepiej było, powtarzam, przyjąć wówczas myśl moją, jak podawać ją dziś, przyczepiając do niej ogon najgłupszych frazesów, zbijających się wza-

jemnie. Jeżeli bowiem »*myśl i dążenie do niepodległości pochłania byt narodowy*«, jak to słusznie powiada autor — a »*koniecznym warunkiem odzyskania kształtów państwowych jest zachowanie bytu narodowego*«, to prosta rzecz, że »*dla społeczeństwa, które przestało istnieć w kształcie państwowym, odzyskanie tego kształtu*« nie może być »*najwznioślejszym, najszczytniejszym celem*«; jak również, że »*myśl i dążenie do niepodległości*« nie może »*być jego siłą ożywczą*« skoro ono »*pochłania byt narodowy*«, a ten »*jest koniecznym do odzyskania kształtów państwowych*« (II, 6—7).

Cała ta logika nie dziwi mię zresztą u autora, który przecież ślubował, że i nadal będzie sumiennie naród prowadził po drodze »*bezrozumu*«. Teorya zawieszania tego najwyższego celu na kołku nic a nic tu nie pomoże, i nie zrobi mądrem bezrozumnego zdania. Powtarzam, że i sumienniej i korzystniej dla prawdy było zostawić cały ten balast niedorzeczności w domu i poprzestać na jedynym celu, o który autorowi rzeczywiście chodzi, to jest na »*celu utrzymania bytu narodowego*«, a więc na zasadzie, którą ja postawiłem przed dwunastu laty.

Nie napróżno jednak powiedziano, że słowo srebrem, ale milczenie złotem. Widocznie, że polityka milczenia jest wcale korzystną pokrywką, pod którą genialni politycy i publicyści konserwatywni stroją się w cudze pierza. To też przemytnictwo owoców mojej pracy i mojego myślenia odbywało się od samego początku na bardzo szeroką skalę w pismach konserwatywnego obozu. Milczałem, dokąd przemycając, fałszowano tylko markę fabryczną, ale nie fałszowano samego towaru, jak to ma miejsce w powyższym wypadku. Bo nie chodziło mi o sławę, ale o rozszerzenie się zdro-

wych myśli jakiemibądź godziwemi sposobami, pod które gotów byłem podciągnąć nawet kradzież moich myśli. Na szczęście, jeżeli wobec nieuczciwego zagłuszania moich poglądów przez pana Koźmiana i spółkę, udało mi się tylko powoli wpływać na zajęcie poważniejszego stanowiska przez Koło polskie wobec sprawy polskiej, a szczególniej na znaczne zmniejszenie się zajadłego drażnienia Rosyi w parlamencie i w konserwatywnych dziennikach; to w Królestwie idee moje zyskały poklask wszystkich poważnych ludzi i dziś nie ma tam z pewnością ani jednego rozumnego i uczciwego człowieka, któryby nie uznawał potrzeby szczerego porozumienia się z Rosyą, i szkody, jaką drażnienie tej ostatniej przez galicyjskie dziennikarstwo i galicyjski ogólno polski patryotyzm wyrządza zakordonowym prowincyom. Nie znaczy to, żeby moje pisma miały dopiero rozbudzić w Królestwie poczucie i potrzebę tego zbliżenia, bo ta stanęła przed krajem zaraz od pierwszego dnia po zakończeniu powstania. Ale pisma te określając jasno i bez ogródki potrzebę odczuwaną przez całe tamtejsze spółeczeństwo, ułatwiły dojście do świadomości o tejże.

Ta świadomość daje tamtejszemu spółeczeństwu zdrowe ocenienie teraźniejszego położenia, zdrowy sąd o przeszłości i zdrowe poczucie błędów popełnionych przed trzydziestu laty. Nie wiem, czy dziś znajdzie się w Królestwie porządny człowiek, któryby nie uznał, że cała wina za upadek systemu Margrabiego ciąży wyłącznie na słabości białych, którzy go nie poparli i na zawziętości spisku, który nie chciał dopuścić do jakiejkolwiek zgody z rządem.

A teraz, w chwili, kiedy spółeczeństwo polskie w Królestwie potrzebuje jak największego rozumu po-

litycznego, staje pan Koźmian, i pod najszkodliwszą formą, bo pod płaszczem faryzejskiego oddania hołdu Margrabiemu, zwala na niego główny ciężar winy za niepowodzenie, t. j. za upadek jego reform!

XXI.

Nie dziwi mię to zupełnie, że pan Stanisław Koźmian żądał, żeby z sądu dzisiejszego o szalonych działaniach powstania, wykluczyć logikę rozumu. Uwzględniłem to życzenie i postarałem się o to, by usłyszał on i jemu podobni wyrok z ust waryata. Ale teraz niechże on pozwoli, żeby rozumne działanie sądzonem było logiką zdrowego rozumu i serca.

W całej Polsce, jak długa i szeroka, z ludzi działających publicznie jeden tylko człowiek połączył w swojem działaniu wszystkie warunki, mogące wpłynąć na korzystny sąd historyi o jego roli politycznej i dlatego musi on stać po za sądem. Tym człowiekiem był Margrabia Aleksander Wielopolski. Miał cel rozumny, oddał mu się z całem poświęceniem i szczerością i urzeczywistnił go.

Zamierzywszy wywalczyć u cesarza rosyjskiego autonomią dla Królestwa Polskiego, wywalczył ją, złożył więc dowód, że cel jego był politycznie rozumnym. Zarówno w walce o zdobycie autonomii jak w późniejszej jej obronie wyczerpał wszystkie środki, na które stać go było, nie wahał się poświęcić dla zdobytych instytucyi ani swojego życia, na które dybali skrytobójcy, ani swojej czci, na którą dybał »Czas«, a za jego hasłem wszyscy biali i czerwoni, krajowi i emigranccy patryoci; nie wahał się dać swojego nazwiska na pastwę nikczemnemu

motłochowi konspiratorów i literatów, którzy do dziś dnia nie umieją uszanować wielkiej jego pamięci. Z chwilą, gdy rozpadała się w gruzy ostatnia cegła z wzniesionego przez niego gmachu, zapadła także w milczącą bezwładność ta potężna dusza, która nie wytrzymała ruiny swojego dzieła, która prysła pod ciężarem nieszczęścia ojczyzny, tak samo jak po rozbiorze kraju prysł wielki umysł Rejtana, nie przetrzymawszy zguby i hańby swojego narodu.

Daremne będą usiłowania wielkich ludzi z 1863-go roku, żeby Margrabiego osadzić obok siebie na ławie oskarżonych przed trybunałem historyi. Daremne ich mędrkowania, by go skłonić do przyjęcia choćby cząstki winy na siebie. Surowa a potężna jego postać stać będzie do końca dni niewzruszona w dziejach naszego narodu, niosąc w sobie nieodwołalny wyrok potępienia karłowatemu pokoleniu, które nietylko swoje własne zabijało proroki, ale jeszcze nad ich pamięcią nie przestaje się znęcać.

Tak jest! Wy umiecie tylko zrywać wszelkie związki narodu z historyczną przeszłością niepodległej Polski, o którą wam niby tak bardzo chodzi, wy umiecie tylko pruć przędzę jej przyszłości i to się u was nazywa czystą miłością ojczyzny! Wy umiecie tylko zrywać wszelkie związki logiki, jakie łączą człowieka z resztą świata i to się u nas nazywa rozumnym patryotyzmem! Wy umiecie tylko przecinać wszelkie nici wzniosłych uczuć, które utrzymują serce ludzkie w stanie łaski i to nazywacie czystością waszego poświęcenia.

Wy wreszcie umiecie tylko targać i rwać świętokradzką ręką podstawę wszelkiej szlachetności, bo miłość łączącą duszę ludzką z Bogiem i to nazywacie przywiązaniem Polski do katolicyzmu!

Umotani jak niewolnicy w pęta, które wam narzucił pan Stanisław Koźmian, przez półtora roku byliście bezmyślnymi wspólnikami tego bezecnego rozlewu krwi szlachetnej i niewinnej służącej za dekoracyą matactw tego znakomitego męża stanu. Związani z nim temi strasznemi kajdanami, wlekliście się potem przez 30 lat ze spuszczoną głową za jego rydwanem, patrzeliście spokojnie jak truł fałszem całe młode pokolenie i dziś milczycie, gdy was obok siebie na jednej ławie oskarżonych posadził, gdy pod waszą firmą bluźni Bogu i ojczyźnie. Wiem, żem sam grzeszny, że sam pełen winy. Sąd o tem do Boga należy. Ale pamiętajcie, że jeżeli wybrani nie chcą zasiąść u stołu Pańskiego, to posyła Pan na ulice i uliczki miasta, na drogi, i opłotki i każe sprowadzać ubogie i ułomne, ślepe i chrome, aby był dom jego napełnion. Pamiętajcie, że Bóg nieraz najsłabszych istot używa, do okazania wszechmocy i sprawiedliwości swojej, że z najsłabszych może ukręcić bicz, by wygnać nim przekupnie, które zasiadły przedsionki świątyni, frymarcząc honorem, poświęceniem i wiarą narodu.

Za ważne nadchodzą dla przyszłości narodowej chwile, żebyście mieli mieć prawo siać prawą ręką ziarno przyszłości, a lewą kąkol i osty fałszu.

Zbawienie i przyszłość nasza tylko w prawdzie i w miłości. Bo na to nas Bóg między trzy podzielił społeczeństwa, żebyśmy mogli je zbliżać do siebie miłością i prawdą. Precz więc z zawiścią i fałszem, precz »z bezrozumem« i kłamstwem.

Zanadto dobrze miałem sposobność was poznać od ćwierci wieku, żebym naprzód nie słyszał was jak w niebogłosy wołać będziecie: to zuchwalec, to ambitnik, który chciałby burzyć tą zbawienną pracę polityczną,

którąśmy tak wyśmienicie i z takim zbudowali mozołem; albo może... to waryat, nie zdolny do budowania, który tylko rozsadzać umie wpływ tych »*Polaków galicyjskich*« którzy już »*w tym strasznym roku* 1663-im *byli najszczęśliwszymi i najmądrzejszymi wśród swoich współziomków,*« którzy »*podjęli pod puklerzem Austryi gospodarskie i cywilizacyjne odrodzenie narodu...*« którzy pokazali światu »*co przez to zdziałali,*« bo to »*wykazała lwowska wystawa.*« (!). [1])

Mogę was z góry zapewnić, że nie mam najmniejszego zamiaru waryować. Ale jeżeli dziś, równie jak przed trzydziestu laty, tylko waryat w polskiem społeczeństwie może się zdobyć na głos prawdy, to chętnie zgodzę się na to, by być waryatem. Radość z tego świetnego rozwoju w Galicyi, dla dopatrzenia którego potrzeba dopiero szopki wystawowej, zostawiam gazecie »*Neues Wiener-Tagblatt.*«

Ja przyznam się, że mam inną wagę i inną miarę do osądzenia waszej działalności. Miałem już nieraz i będę miał jeszcze gdzieindziej sposobność wyrazić swoje zdanie o stanie wewnętrznym Galicyi. Mogę was jednak zapewnić, że nie jestem pessymistą do tego stopnia, abym nie miał uznawać, że te trzydzieści lat politycznego życia Galicyi, przyniosły dla niej korzyści. I owszem. Przedewszystkiem ugruntowały one szczery stósunek przywiązania pomiędzy Monarchą Austryi a Galicyą.

Stósunek ten nabrał cechy tak szczerej dla Galicyi życzliwości, że szlachetny ten Monarcha, nie ograniczył się do prostej dbałości o materyalny byt tej prowincyi, ale zrozumiał także moralne potrzeby polskich, narodowych uczuć. Gdy los milionów zakordonowych Polaków wy-

---

[1]). Nr 275 »Czasu« 2 grudnia 1874: »Neues Wiener-Tagblatt.

czekiwał ratunku, gdy plac wystawowy brzmiał od mów patryotów i wielkich ojców ojczyzny, których każde nierozważne, na czczy poklask gawiedzi obliczone słowo, płaciło Królestwo Polskie cytadelą, deportacyą lub wznowionym uciskiem. — W tej to właśnie chwili Najjaśniejszy nasz Pan i Cesarz Franciszek Józef I wychylił w stolicy Galicyi toast: »*Na zdrowie mego drogiego przyjaciela cesarza Aleksandra, którego niech Bóg wspiera.*« Ten toast oby był nauką dla pana Lewakowskiego i jemu podobnych krakowskich, lwowskich i wiedeńskich Rejtanów, którzy robią raczej wrażenie galicyjskiej ochotniczej agentury prowokacyjnej, działającej na korzyść utrzymania w nieskończoność w Królestwie wszechwładzy nieprzejednanej biórokracyi rosyjskiej. Oby ten toast mógł się stać hasłem, że Galicya, tylko dla Galicyi, oby ten toast mógł się stać zwiastunem zgody i życzliwości między Polakami a rządem także z tamtej strony kordonu, a z pewnością to jedno wystarczyłoby, do rozniecenia najżywszej wdzięczności w sercu każdego prawego Polaka.

Ale nie na tem koniec korzyści osiągniętych przez Galicyą w ciągu ostatniej ćwierci wieku na politycznem polu. Nie bójcie się, umiem ja uznać pracę i zwycięztwa na każdem polu, umiem uszanować siłę moralną i tęgość, ale tam tylko gdzie jest rzeczywistą siłą i tęgością, a nie jej cieniem i wyobrażeniem, ale tam tylko, gdzie siła i tęgość znaczy czynem swoje istnienie. I dla tego nie mogę pominąć tu człowieka, który obecnie z woli Monarchy dzierży silną dłonią ster rządu krajowego w Galicyi.

Zaprawdę dziwna jest kolej rzeczy ludzkich i dziwnem jest zrządzenie Opatrzności. Wśród uczącej się młodzieży podczas burzy 1863-go roku, tym roku ogólnego szaleństwa lub kłamstwa, dwóch znałem ludzi,

którzy nie szaleli i nie kłamali. Jeden z nich był kolegą mojego brata. Nie mięszał się do demonstracyi, a gdy wszyscy prawie słuchacze tłumnie opuścili salę wykładową, w dniu 6 lutego 1863 roku biegnąc do Ojcowa, lub udając że tamże podążają, jego jednego tylko zastał ówczesny rektor uniwersytetu w pustej sali wykładowej. On jeden nie dał się porwać szałowi i on jeden miał dosyć odwagi cywilnej i hartu, żeby to publicznie pokazać. Człowiekiem tym jest dzisiejszy namiestnik Galicyi hr. Kaźmierz Badeni.

Drugim, jak już wiemy, był dzisiejszy marszałek sejmu krajowego Książe Eustachy Sanguszko.

Tak jest, na czele zarówno rządu krajowego jak krajowej autonomii, stoją dziś ludzie, którzy nigdy nie szli drogą szału lub fałszu. W rękach więc ludzi rozumnych i prawych spoczął ster Galicyi właśnie w tej chwili, gdy Monarcha Austryi niesie do Lwowa rószczkę oliwną pokoju; w chwili gdy z tamtej strony kordonu padają pierwsze świetlane promienie ze stolicy Rosyi na kraj pogrążony w cierpieniu i niedoli; gdy młody cesarz Mikołaj II głosi w swoich manifestach równe staranie o szczęście wszystkich swoich poddanych i równy dla wszystkich wyznań szacunek, gdy przekreśla czarną kartę ostatniego powstania, w chwili wreszcie, gdy zakordonowi Polacy mają najsilniejsze postanowienie starać się o zyskanie gruntu do uczciwej chrześciańskiej pracy, a ufając w szlachetne uczucia monarchy, nie dadzą się nikomu i niczemu sprowadzić z drogi porządku i prawa, na której muszą się spotkać z usiłowaniem wszystkich uczciwych żywiołów społeczeństwa rosyjskiego.

Gdy rok temu zabierałem się do dzieła pod tytułem *Myśl polityczna z księgi dziejów cierpień i pracy*,«

przystępowałem do niego z tą niezachwianą wiarą, że obopólna zawiść i tępienie polskiego społeczeństwa, nie może być w nieskończoność jedyną treścią polsko-rosyjskich stósunków.

Przystąpiłem do pracy z tą silną wiarą, że wyczekiwanie na chwilę zgody, pokoju i wspólnej pomyślności nie może się już liczyć na lat dziesiątki. Nie spodziewałem się jednak, żeby jutrzenka pokoju tak wcześnie zaczęła świtać. Dziś więc, więcej niż kiedykolwiek potrzeba nam dojść do świadomości prawdy i tylko prawdy i jeszcze raz prawdy. Bo na prawdzie tylko możemy budować przyszłość narodową, którą w otchłań pogrążyło kłamstwo.

Nie dziwcie się więc, że gdy kłamstwo wpadło mi w szyki moich myśli i zagrażało rozwojowi ich frontu, nie mogłem czekać aż rozciągnę całą linią bojową do głównego przeciwko niemu ataku, lecz musiałem posłać tymczasem dywizyą kawaleryi, któraby nieprzyjaciela spędziła natychmiast z zajętej pozycyi i pozwoliła potem spokojnie i poważnie rozwijać się dalej mojej politycznej myśli. Oto jest powód, dla czego nie czekając na wydrukowanie dalszego tomu mojego dzieła, musiałem natychmiast stoczyć walkę z obłudą, bezrozumem i kłamstwem, które starało się o wywalczenie sobie stałego prawa obywatelstwa w polskiem społeczeństwie.

Kraków 2 grudnia 1894 r.

Jerzy Moszyński.



OMYŁKI DRUKU.

Str. 4 wiersz 3-ci od dołu, zamiast *gdzie* czytaj *gdy*.
Str. 5 » 4-ty od góry » *antanomii* czytaj *autonomii*.



